Nr. 29. Lwów, Niedziela dnia 18. Lipca 1875 r. Rok II

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Wydawcy: A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg.

LUŹNE UWAGI.

XXIX.

O ARYSTOKRACJI WE WSCHODNIEJ GALICJI.

I. Nie należymy do tych, którzy utrzymują, że pod względem społecznym wszyscy ludzie równi być powinni; nie należymy zaś dla tego, że podobne twierdzenie uważamy za mrzonkę. W początkach rozwoju ludzkości mieliśmy arystokrację patrjarchalno-kapłańską, po niej nastąpiła rodowa, dziś zapanowała pieniężna, jutro możemy mieć arystokrację naukową, a gdy ludzkość stanie na najwyższym szczeblu duchowego rozwoju, i wtedy jeszcze będzie ona miała taką arystokrację, w której skład wejdą osobistości wyszczególniające się rozumem i „cnotą“ prawdziwą. O zupełnem zrównaniu stanów mowy zatem być nie może, bo gdybyśmy człowiekowi odjęli pragnienie wywyższenia się nad innych, tem samem zabilibyśmy w nim główną życia sprężynę, stawiając go na równi z pierwszem lepszem zwierzęciem, które pracuje aby jeść. Według naszego zatem przekonania, różność stanów, z uwzględnieniem zmian jakim z biegiem czasów ulegnie, po wieczne czasy istnieć będzie, chociażby dla tego tylko, że bez podziału pracy nie da się zrozumieć dobrze uorganizowane społeczeństwo. Praca wyrabia pojedyńcze stany, praca je utrzymuje, a gdy jeden z nich pracować przestaje, reszta zastępuje go nowym, jak to swego czasu uczynili Francuzi, albo mu daje chleb łaskawy, nie dozwalając by się więcej rozrastał, jak tego dobry przykład dali Szwajcarzy. Ten ziemię uprawia, drugi naucza, trzeci kraju broni, czwarty zaspokaja jego duchowe potrzeby, piąty społeczeństwo odziewa, a szósty niem rządzi. Każdy stan zatem musi pracować, albowiem tylko praca dostarcza mu sił żywotnych.

Nie pisząc rozprawy, poprzestaniemy na tych kilku wstępnych uwagach, któremi naznaczyliśmy nasze bezstronne stanowisko, i przystąpimy natychmiast do naszego założenia.

W Galicji wschodniej mamy jeden stan, któremu oddawna należy się chleb łaskawy, ponieważ częścią z lenistwa, a w części z wyczerpania sił żywotnych zupełnie przestał pracować. Jest nim arystokracja. Nie stosujemy tych słów do całej arystokracji galicyjskiej, gdyż nie da się zaprzeczyć, że ta, która mieszka w Galicji zachodniej, jakkolwiek z jej kierunkami rzadko możemy się zgodzić, nie zapomniała dotąd o obowiązkach, jakie na niej ciężą, i lubo po swojemu, pracuje dla kraju. Analiza arystokracji w Galicji wschodniej za daleko by nas zaprowadziła. Zresztą nie wiele nas to obchodzi, czy ma ona prawo uważać się za ten stan wybrany, który panować powinien, lub czy tylko uzurpuje sobie władzę, nie mając ani tradycji, ani odpowiednich zdolności, ani stosownych majątków. Faktem jest, że istnieje, i że na każdym kroku narzuca się społeczeństwu.

Lecz co robi ta arystokracja? Wciska się do sejmu, i bądź spi, bądź zgubną agitacją najpożyteczniejsze sprawy uśmierca; wciska się do rad powiatowych i bezczynnością wystawia na śmiech całą autonomję; wciska się do urzędów i bez zasług żąda promocji; wciska się do wszystkich ważniejszych towarzystw, i bądź je samolubnie wyzyskuje na własną korzyść, bądź złem prowadzeniem przedwcześnie je uśmierca, — słowem narzuca się wszystkim i wciska się wszędzie, jedynie dla tego, że słusznie czy niesłusznie uznana za arystokrację, uważa siebie za stan wybrany, który rządzić powinien. A gdy kraj domaga się od niej prawdziwej usługi, gdzież ona wtedy? Nie znajdziecie jej nawet z latarnią Djogenesa w ręku. Potrzeba pracy bez nagrody— nasza arystokracja umywa ręce; potrzeba kilku tysięcy na postawienie teatru w Poznaniu, aby Wielkopolan wesprzeć w walce z garmanizmem— arystokracja nasza nie da grosza; potrzebujemy pieniędzy na podniesienie oświaty ludu — arystokracja nasza nietylko że nic nie daje, ale w dodatku jeszcze agituje w duchu przeciwnym; potrzeba uczcić wielkiego człowieka, który powstawszy z ludu lub ze szlachty drobnej, nigdy przed panami nie wybijał pokłonów — arystokracja nasza usuwa się od współudziału; potrzeba nakoniec oddać ostatnią usługę mężowi pracy i poświęcenia — arystokracja nasza zostaje w domu. W całym świecie cywilizowanym nie ma prowincji, gdzieby ci, którzy pragną, by ich za pierwszych uważano, postępowali tak małodusznie, jak arystokracja we wschodniej Galicji. Wprawdzie i w jej gronie znajdują się wyjątki, ale są one tak rzadkie, że możemy je policzyć na palcach jednej ręki. Tych wybrańców kraj zna dobrze, więc ich wymieniać nie potrzebujemy.

Kto może, niech nam udowodni, żeśmy napisali nieprawdę. Co do nas jesteśmy głęboko przekonani, że stronnicza zawiść piórem naszem nie kieruje. Arystokracja we wschodniej Galicji zbutwiała już na wskróś, a że jej rola skończona, więc powinniśmy zastanowić się nad tem, co w obecnej chwili uczynić należy, by jak najprędzej znalazła się w dobrze zasłużonym stanie spoczynku.

BYLE WYŻEJ!

POWIEŚĆ

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

IX.

Doktor bowiem nigdy a przynajmniej bardzo rzadko pokazywał się w towarzystwie Heleny, zachowywał się wtedy obojętnie, rzadko z nią rozmawiał, i nikomu na myśl by nie przyszło, że między nim a Heleną istnieje jakiś stosunek, nawet jakiej takiej znajomości. Nadskakiwania kuzynka Ottona i innej młodzieży obałamucały ciekawych obserwatorów i myliły ich tropy.

A tymczasem Helena widywała się dość często z doktorem. Była genjalną w wynajdywaniu sposobów do tego; im większe były trudności, tem oryginalniejsze przychodziły jej pomysły do głowy. Przytoczymy tu tylko parę.

Raz na jednym balu, czy też większej zabawie prywatnej znajdowała się Helena

ze swym mężem. Kuzynek towarzyszył im jak zwykle. Doktor był także, ale nie zbliżał się wcale do nich, a nawet nie był w sali. Grał w przybocznym pokoju. Helena była królową wieczoru, co Herminji, która także była między zaproszonymi gośćmi, całkiem humor popsuło. Kuzynek Otto nadskakiwał pięknej tryumfującej królowej więcej niż zwykle. Nie odstępował jej prawie, nosił za nią wachlarz, bukiet, szal i bawił ją rozmową. Jan ponurym wzrokiem patrzał na te umizgi kuzynka i dobrze obserwował jego i żonę z framugi, w której siedział z jakimś starym prezesem sądu. Tańczono kadryla, Helena tańczyła go z kuzynkiem. Po kadrylu podał on jej rękę i poprowadził do drugiego pokoju. Jan zmarszczył gniewnie brwi, chciał iść za nimi: ale stary prezes właśnie opowiadał mu o jakimś procesie, nie wypadało odchodzić; musiał dosłuchać do końca. Skoro tylko mógł się uwolnić od prezesa wstał i poszedł do pokoju, do którego kuzynek zaprowadził jego żonę. Zastał ich oboje siedzących na kozetce. Ona skubała kwiaty w zamyśleniu, a on coś żywo do niej mówił, jakby ją prosił o coś, jakby nalegał o odpowiedź. Za zbliżeniem się Jana przestał mówić, a gdy ten usiadł przy nich, kuzynek pod jakimś pozorem oddalił się. Podejrzenia Jana obudziły się znowu. Zbliżył się do żony, wziął ją za rękę i patrząc jej badawczo, surowo w twarz, spytał:

— O czem mówiliście ze sobą? On cię o coś prosił — nie prawda?

Helena zdawała się chwilkę namyślać, potem rzekła:

— Zgadłeś.

— O! ja mam dobre oczy, — choć doktorzy grożą mi ślepotą. Widzę wszystko.

— Tymczasem mógłbyś był niewidzieć i tak byłabym ci powiedziała, bo to jest oburzające, czego sobie ten Otto pozwala. Prosił mnie....

Tu się zatrzymała, jakby jej brakło odwagi powiedzieć.

— O co takiego?

— Ale nie będziesz się gniewał na niego — nie dasz mu przynajmniej poznać tego? On to zrobił przez lekkomyślność, przez próżność. Kobiety popsuły go swoją pobłażliwością, względami — i zdaje mu się, że może być wymagającym.

— Więc o co cię prosił! — spytał niecierpliwie Jan, a oczy jego błyszczały dziko.

— Ani mniej ani więcej, tylko o schadzkę.

— A ty co na to?

— Roześmiałam się — to było najrozsądniej.

— Mógł przez to myśleć, że przystajesz.

— Zdaje się, że nawet to myślał, ale co mnie to obchodzi?

— I gdzież naznaczył ci tę schadzkę?

— Jutro w Stadt-parku o siódmej.

— Dobrze, — rzekł Jan gryząc wargi.

— Tylko żadnych scen, bardzo proszę, mogłoby się to rozgłosić, ja tego nie chcę.

— Bądź spokojna. Będę wiedział co zrobić.

Jan nie myślał wcale o gwałtownych scenach, które mogłyby dla niego samego wypaść niekorzystnie, bo jak wiemy, nie grzeszył zbytkiem odwagi. Postanowił tylko jutro o wskazanej godzinie iść do Stadtparku, i przeprosić pana Ottona grzecznie w imieniu żony, że sama przyjść nie mogła i jego przysyła. Byłby to dostateczny tryumf dla niego. Do końca wieczora już nie odstępował żony, by nie mogła przestrzedz kuzynka, że on wie o wszystkiem. Gdy wychodzili — w garderobie wśród kilku osób, które się także do wyjścia zabierały, był i doktor. Grzeczność nakazywała, że wyręczając męża podał zarzutkę Helenie. Podziękowała mu zimno grzecznym ukłonem, ale w chwili, gdy mąż zajęty był wdziewaniem paltota, miała czas szepnąć doktorowi:

— Jutro — o siódmej — u mnie.

Stało się więc, że kiedy mąż w Stadtparku spacerował dnia następnego przez parę godzin, oczekując przybycia mniemanego rywala, prawdziwy kochanek używał słodkiego sam na sam z jego żoną.

Innym razem znowu Helena odebrała przez pocztę miejską list od jakiejś dawnej znajomej swojej, niejakiej Anny Raap, wdowy po urzędniku, która donosząc jej o swojej chorobie, prosiła Helenę, by ją raczyła odwidzieć. Jan właśnie był przytem jak odebrała ten list. Helena przeczytawszy podała go mężowi, objaśniając, że Helena Raap jest wdową po sędziu apelacyjnym, że kiedyś miała się dobrze, ale teraz przez śmierć męża ograniczona na skromnej pensji, przestała bywać w świecie i znajomi się od niej odsunęli.

— Muszę pojechać, aby nie sądziła, że należę do liczby tych, którzy ją tylko w szczęściu znali.

Mąż nie miał nic przeciw temu. Pomagał nawet Helenie ubierać się.

— A może pojedziesz ze mną — spytała go.

— Do tej pani?

— No, do niej, nie, bo wszak pisze, że leży chora, ale zaczekasz w powozie na mnie. Pojedziemy potem razem do Schönbrun.

Jan nie dał sobie powtórzyć dwa razy tego. Rzadko kiedy spotykała go od żony taka łaska, to też nie omieszkał z niej korzystać. Wziął szal, aby miała się czem okryć, gdy będzie wracać z Schönbrun, wziął ulubionego jej pieska Amorka na kolana, i wsiadł z nią do powozu.

Pojechali na Mariahilf — zatrzymali się przed trzechpiętrowym domem, którego numer wypisany był w liście. Helena poszła na górę — a Jan został w powozie trzymając Amorka na kolanach. Tymczasem inny Amorek robił coś podobnego z jego żoną. Ową bowiem Anną Raap był nie kto inny tylko doktor, — który poprzednio już porozumiał się z Heleną względem tej schadzki, i wynajął mieszkanie na Mariahilf, a na drzwiach mieszkania przylepił kartkę: Anna Rapp, wdowa po urzędniku. Blisko godzinę bawiła Helena u swej chorej przyjaciółki. Potem pojechała z mężem do Schönbrunn. Fortel udał się znakomicie; to też Helena pozwalała sobie dość często bądź w towarzystwie męża, bądź bez niego odwidzać chorą. Mąż nie tylko nic nie miał przeciwko temu, ale owszem wolał ze żoną jeździć spełniać dobroczynny uczynek względem jej przyjaciółki, niż gdyby ją był widział w otoczeniu lekkich, nadskakujących młodzików, a szczególniej kuzynka Ottona. Względem tego ostatniego nie mógł się pozbyć pewnych podejrzeń, i pomimo że się parę razy przekonał, a raczej żona go przekonała o niesłuszności jego podejrzeń, był jednak o niego zazdrośnym. Zazdrość tę rozbudził w nim jakiś anonym który otrzymał jednego dnia w tych słowach:

„Żona twoja ma kochanka, — patrz uważnie a odkryjesz go.“

Jan patrzał jak mógł najuważniej, ale nie mógł nic więcej odkryć nad to, że nikt inny, tylko Otto jest kochankiem jego żony, a że, jak się przekonywał, świat już wiedział, i zaczynał mówić o tych miłostkach, więc nie chcąc się narażać na śmieszność w oczach ludzi, a nie mogąc żony złapać na widocznym czynie przeniewierstwa, postanowił wyjechać z nią z Wiednia i oświadczył jej to stanowczo. Przerażenie, z jakiem Helena przyjęła tę niespodziewaną wiadomość, jeszcze bardziej utwierdziło go w podejrzeniu i dla tego chciał nawet przyspieszyć wyjazd. Helena jednak oparła się temu stanowczo. Nie mogła oswoić się z tą myślą, żeby tak nagle i niespodziewanie miały się przerwać jej schadzki z doktorem. Miłość ta sekretna połączona z tyloma przeszkodami, gdzie każdą chwilkę szczęścia trzeba było zdobywać przebiegłością i sprytem, — nabrała w jej oczach niesłychanego uroku; cieszyła się nią jak skąpiec ukrytym skarbem. To też wiadomość o wyjeździe oburzyła ją i postanowiła bądź co bądź nie wyjechać. Przyszło z tego powodu do gwałtownej sceny między nią a mężem. Utrzymywała, że nie pozwoli się tyranizować, że dosyć znosi jego dziwactw i prześladowań i nie myśli się zagrzebać w Krakowie, gdzieby umarła z nudów. Mąż oświadczył, że nie zostanie tu dłużej, że jeżeli boi się nudów w Krakowie, to mogą wyjechać do Paryża. Ale Helena nie chciała słyszeć o Paryżu i upierała się koniecznie zostać w Wiedniu. Wtedy Jan wybuchnął i zawołał:

— Nie chcesz jechać do Paryża, bo tam nie ma Ottona. Wiedziałem, że tobie nie idzie o zabawę tylko o kochanka. Nie chcesz się z nim rozłączyć. Ale ja cię zmuszę do tego.

— Czem?—spytała stawiając mu się ostro.

— Śledczemi aktami brata i twoim listem tyczącym się kradzieży tych papierów, — rzekł Jan tryumfująco.—Uwierzyłaś że zniszczyłem te papiery — byłem przezorniejszym trochę, niż myślałaś. Kto ma do czynienia z takim nieprzyjacielem jak ty, ten powinien zawsze mieć broń przy sobie. Te akta są moją bronią i dla tego się ich nie pozbyłem.

Helena nic nie odrzekła. Wiadomość, że akta brata istnieją jeszcze, odebrała jej wszelką energję — zmiękła jak wosk i spytała z poddaniem się:

— Kiedy jedziemy?

— Jutro?

— Nie przyniesiono mi jeszcze sukień.

— Obejdziemy się bez nich. Masz ich pani dosyć. Na Kraków aż nadto.

Wyzyskiwał przewagę, jaką miał teraz nad nią; broń skutkowała. Nie używał jej, dopóki Helena była tylko obojętną, teraz dobył jej, gdy ją zaczął podejrzywać, że może mu się stać niewierną; miłości nie byłby zdobył tą bronią, którą trzymał w ukryciu przygotowaną; ale posłuszeństwo mógł wymódz na niej. To też była mu posłuszną bez szemrania.

Na drugi dzień o godzinie 8. wieczorem mieli wyjechać do Krakowa. Jan był pewny, że Helena będzie korzystać z tego jednego dnia, jaki jej pozostał, by zawiadomić kochanka o swoim wyjeździe, i widzieć się z nim. Postanowił ją pilnie obserwować, i w tym celu w domu naprzeciw mieszkania swego wynajął na ten dzień od jakiegoś biednego studenta pokoik na trzeciem piętrze. Powiedział mu, że mu to potrzebne do tajemnej schadzki. Student przystał chętnie. Jan zajął niebawem jego mieszkanie i pilnie obserwował ztamtąd bramę swego domu. Widział wiele osób wchodzących i wychodzących, widział nawet doktora wchodzącego do jego domu, ale to nie obudziło w nim żadnych podejrzeń. Doktora mało znał, nie bywał on u nich, a że wchodził do tego domu, to nie było nic zadziwiającego. Doktorzy bywają wszędzie.

W pół godziny po wejściu doktora zajechał przed dom jakiś powóz; wysiadł z niego mężczyzna i wbiegł na schody. Jan się zerwał. Nie dostrzegł wprawdzie dobrze twarzy mężczyzny; ale był pewny, że to Otto.

— Mam ptaszków w potrzasku! zawołał z dziką radością. Chwycił czapkę ze stołu i zbiegł po schodach. Miał zamiar wejść tylnemi drzwiami do swego domu, przejść przez kuchnię, jadalny pokój do pokoju żony i tym sposobem chwycić ich na gorącym uczynku. Nie wątpił, że scena pożegnania będzie czułą i długą.

Szedł spiesznie ze schodów, by co prędzej stanąć na stanowisku, z którego miał obserwować tę scenę. Ale jakież było jego zdziwienie, gdy w sieni domu swego spotkał się oko w oko z Ottonem, który wracał właśnie do powozu z miną nie bardzo zadowoloną.

— Cóż to ma znaczyć? — spytał ujrzawszy Jana idącego przyspieszonym krokiem — podobno odjeżdżacie i żona twoja nie chce przyjmować pożegnalnych wizyt.

Żadne powodzenie nie zrobiło Janowi takiego zadowolenia, jak ten zawód, który go w tej chwili spotkał. Biegł chwycić rywala na schadzce, a spotkał go odprawionego z kwitkiem. Jan nie posiadał się z radości i szczęścia. Zbrodniarz, gdy mu pod szubienicą przeczytają zamiast wyroku ułaskawienie, nie ucieszyłby się tak, jak on w tej chwili. Nie mógł się powstrzymać, by nie uścisnąć serdecznie Ottona i powiedział mu na usprawiedliwienie żony, że pewnie musi się pakować do drogi.

— Toż przecie pożegnać się może. Toby jej nie wiele czasu zajęło. Ale ja uważam, że twoja żona od jakiegoś czasu nie bardzo łaskawa na mnie.

— Tak? — spytał Jan wesoło.

— Domyślam się, że ktoś jakichś plotek narobił. Przyszedłem nawet, przyznam ci się, w tej intencji, żeby ją zapytać o powód takiej oziębłości. Cóż, kiedy mnie nie raczyła przyjąć.

— Ot, zwyczajnie kaprysy kobiece.

Byłby pobiegł i rzucił się do nóg żonie za ten kaprys: ale wypadałoby wtedy zaprosić i brata na górę, a tego sobie nie życzył. Odłożył więc chęć swoją na później i ofiarował się pojechać z Ottonem do Volksgartenu dla zabicia czasu.

— Nie chcę bowiem Helenie przeszkadzać w pakowaniu, kobiety nie lubią tego,— rzekł i wziąwszy Ottona pod rękę wsiadł z nim razem do powozu.

W ogrodzie zabawił kilka godzin. Był niesłychanie wesół i ożywiony. Otto zdziwił się, nigdy go takim nie widział, i nigdy jeszcze w towarzystwie jego nie ubawił się tak dobrze, jak tego dnia. Ponury i milczący zwykle mąż Heleny był dziś rozmowny, dowcipny, a lubo dowcip jego był zawsze pełen złośliwości i jadu, to jednak trafne uwagi jego o obecnych przypadały do gustu Ottonowi, i przyjemnością którą mu mąż sprawiał, pocieszał się po nieprzyjemności, jaka go spotkała od żony. Szósta już była kiedy się rozeszli.

Jan wracał spiesznie do domu, do żony wracał rozbrojony, rozczulony, by ją przeprosić za niesłuszne podejrzenia. Teraz miał oczywisty dowód, że Helena choć była zimną dla niego nie zdradzała go jednak. Była zimną jak lód, ale i czystą jak lód. Jakże śmiesznym wydawał się teraz ze swemi podejrzeniami, wstydził się sam przed sobą za to i gniewał się na siebie, jak mógł prostą grzeczność Heleny brać za miłośne objawy i męczyć ją szaloną zazdrością. Chciał ją za to przeprosić. Ale słowa nie wystarczały, postanowił dać jej większy dowód skruchy. Poszedł do swego biurka, wyjął z niego akta kryminalne, któremi wczoraj jeszcze groził Helenie i poszedł ze skruszoną miną do pokoju.

Służąca stała w przedpokoju.

— Czy jest pani? — spytał Jan łagodnym głosem.

— Jest.

Jan zapukał delikatnie i wszedł.

Helena siedziała na kanapce mając głowę podpartą na ręku, była poważnie zamyśloną. Skrzypnięcie drzwi obudziło ją z zadumy. Podniosła głowę i spojrzała na wchodzącego.

— Czy już czas jechać? — spytała głosem bezdźwięcznym i suchym.

— Ty może wolałabyś zostać? — spytał nawzajem nieśmiało Jan.

— Tu nie idzie o moją wolę, ja nie mam woli.

— Owszem masz ją, masz — zawołał żywo Jan klękając u jej nóg — rozkazuj, powiedz, zrobię wszystko.

— Co to ma znaczyć? spytała spojrzawszy na niego zdziwionemi oczyma.

— To ma znaczyć, że byłem szaleńcem, głupcem, który męczył niepotrzebnie siebie i ciebie podejrzeniami, posądzeniami.

— I cóż cię tak nagle oświeciło? — spytała z ironicznym uśmiechem.

— Nie pytaj. Dość ci wiedzieć, że żałuję tego, com zrobił, a na dowód jak ci wierzę — masz.

Wydobył papiery i podał jej.

— Co to jest? — spytała Helena nie biorąc papierów do ręki.

— To akta twego brata i twój list; papiery, któremi chciałem więzić cię.

— Mogą ci się jeszcze przydać — rzekła z przekąsem. Przeciw takiemu nieprzyjacielowi, jak ja, trzeba mieć zawsze broń w pogotowiu.

— Przebacz mi te słowa — mówił składając ręce, jakby do modlitwy — wstydzę się dziś za nie. Masz, weź te papiery, ja nie chcę cię siłą przymuszać do niczego, jesteś wolną, ja ci wierzę.

A widząc, że się nie spieszyła z braniem podawaaych papierów, wziął je, podpalił sam i rzucił na kominek.

— Teraz nie ty u mnie, ale ja u ciebie na łasce, możesz robić, co ci się podoba.

— Dziękuję ci za to pozwolenie, — odrzekła z lekką ironją i patrzała na męża jak na warjata Nie mogła sobie bowiem wytłumaczyć tej sceny, ani zrozumieć, co tak zmieniło Jan. Jeżeli bowiem kiedy, to dziś mogła słusznie obawiać się, czy nie wpadł na ślad jej tajemniczego stosunku z doktorem. Dowiedziała się bowiem od tegoż podczas dzisiejszego widzenia się z nim, że kryjówkę ich odkryto, że ktoś pytał się stróża kamienicznego o panią Raap i chciał się z nią widzieć koniecznie; a że pani Raap nie istniała wcale, więc można było łatwo przypuścić, że ktoś ich śledził i odkrył tajemnicę. W razie gdyby tak było, doktor proponował ucieczkę. Helena nie mogła się jeszcze na to zdecydować, papiery brata więziły ją w rękach Jana; była niewolnicą, W tej chwili jednak kajdany te spłonęły. Helena nie wiedziała jeszcze, jak użyje tej wolności, wolałaby była, żeby się obeszło bez głośnego skandalu, zwłaszcza, że rzeczy zaczęły się dobrze układać, i mąż chciał już, jak się teraz dowiedziała, pozostać w Wiedniu.

Zazdrość tylko skłoniła go była do tak nagłego wyjazdu; teraz gdy wszelkie podejrzenia prysły chętnie zostawał, tem chętniej, że jego stan zdrowia wymagał dłuższego pobytu tutaj. Na oczy mu się znowu pogorszyło; stało się to wskutek długiego pracowania po nocach. Jan bowiem nie zaniedbywał interesów adwokackich i podczas nieobecności jego w Krakowie dependent załatwiał pomniejsze sprawy, większe zaś przysyłał jemu do obrobienia. Szczególnie ważnym był i nadzwyczaj wiele wymagał ślęczenia i pracy jeden proces o upadłość domu handlowego. Był to interes gruby i Jan sam zajął się nim. A że nie miał czasu w dzień i w wieczór, gdyż chciał wszędzie towarzyszyć swojej żonie, więc pracował po nocach. Wertowanie liczb i rachunków, nieczytelnych listów przy świetle lampy zaszkodziło mocno jego oczom, musiał używać coraz silniejszych okularów, a mimo to mglista jakaś powłoka zasłaniała mu wzrok coraz bardziej. Trzeba było poradzić się i leczyć; Jan jednak odkładał to z dnia na dzień. Kłopoty jakie miał z żoną przeszkadzały mu do tego. Teraz odetchnął od kłopotów, czuł się spokojniejszym i postanowił rozpocząć kurację. Nazajutrz rano miał iść poradzić się doktora.

(D. n.)

---

*

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

II.

Wilhelm Leopolski.

Pierwsze miejsce po Janie Matejce, w historji współczesnego malarstwa polskiego, należy się bez zaprzeczenia Wilhelmowi Leopolskiemu, a chociaż koła obszerniejsze mało go jeszcze znają, gdyż do dnia dzisiejszego nie obdarzył nas ani jednem większem dziełem, któreby wszechstronnie wykończył, mimo to mamy odwagę powtórzyć, że skali talentu Leopolskiego nie posiada żaden z żyjących artystów naszych. Zanim przypatrzymy się nieukończonej jego kompozycji, przedstawiającej *Zgon Acerna* (Klonowicza), którą na tegorocznej wystawie lwowskiej umieszczono na przeciw *Iwana Groźnego*, powiemy słów kilka o tym artyście, pragnąc by głos nasz doleciał aż do niego i nie przebrzmiał bez oddźwięku...

Wilhelm Leopolski pojmuje sztukę tak, jak ją każdy pojmować powinien, tj. szlachetnie. Wprawdzie nie wiemy, czy może on się zdobyć na pomysły olbrzymie, ale sądząc z tego, cośmy dotąd widzieli, wolno nam utrzymywać, że myśli jego, lubo nie olśniewające za pierwszem wejrzeniem, wznoszą się ponad poziom codziennych, a każdą z nich artysta umie ująć ze strony tak piękniej i podniosłej, że w duszy widza musi pozostawić przyjemne wrażenie. Leopolski nie olśniewa, ale i nie przesadza; nie porywa chwilowo, ale i nie zniechęca po rozpatrzeniu się bliższem. W jego talencie jest spokój artystyczny i artystyczna równowaga, rzeczy, bez których obchodzą się czasem genjalni malarze, ale bez czego nie obejdzie się skończony artysta. Pojedyńcze głowy charakteryzuje znakomicie, i w tem przewyższają go dotąd tylko Grotger i Matejko; rysunek ma wszędzie poprawny i spokojny, a co do kolorytu, tyle w nim jest siły i melodji, że ktokolwiek wpatrywał się w stare wzory musi przyznać, że w technice Leopolski bardzo się do nich zbliża, chociaż ich wcale nie naśladuje. Kilka lat temu, na wystawie warszawskiej pojawił się familijny portret, pędzla Leopolskiego, przedstawiający *Kasztelana*. Krytyka tamtejsza, zbyła tę pracę kilką luźnemi uwagami (jak w ogóle artystyczna krytyka warszawska, która jest jeszcze słabszą, aniżeli galicyjska) i zakończyła z naciskiem, że *Kasztelan* jest kopją z jakiegoś antyku, W tem twierdzeniu stanowczem mieściła się największa pochwała talentu Leopolskiego. *Kasztelana* malował on we Lwowie, antyku nie miał wtedy żadnego pod ręką, a mimo to skończył dzieło z zacięciem Rembrandta. Mistrza tego przypomina on też najczęściej, chociaż powtarzamy, nigdy go nie naśladuje.

Nie jeden z czytelników gotów zapytać, gdzie dzieła, które nas tak przychylnie dla tego artysty usposobiły? Odpowiemy, że prawdziwy talent można poznać z luźnego nawet szkicu. Tych szkiców zaledwie podmalowanych oglądaliśmy kilka w pracowni artysty, później przysłał na dawniejsze wystawy dwa czy trzy portrety zupełnie skończone i *Protazego* z „Pana Tadeusza“ a w tym roku mamy na wystawie w połowie wykończony *Zgon Acerna*, zaledwie podmalowany obrazek *W kościele*, i dwa portrety, z których jeden, pjanisty L. Marka, zupełnie skończony. Oto prace, świadczące głośno o niepospolitym talencie Wilhelma Leopolskiego.

Z przykrością jednak musimy wyznać, że to, czem p. Leopolski obdarzył dotąd sztukę polską, jest niczem w porównaniu z tem, co nam dać powinien. Od talentów małych przyjmie się cokolwiek — od wielkich żądamy wielkich rzeczy. Tymczasem p. L. strawił cały lat dziesiątek, i prócz kilku portretów nie dał nam ani jednego dzieła większych rozmiarów. A tymczasem portret to nie cel, do którego p. Leopolski dążyć powinien. Dla artysty z jego zacięciem portret powinien być tylko wypoczynkiem, bo jego talent domaga się wielkich konturów, wielkich dzieł! *Acern* znajduje się dziś jeszcze w tym samym stanie, w jakim oglądaliśmy go pierwszy raz przed ośmią laty. Od owego czasu rozpoczął kilka prac nowych ale żadnej nie skończył. Znajomi, wzruszali na to ramionami, powtarzając: próżniak! ale my, przypatrując się dłuższy czas bez uprzedzenia działalności p. L. przyszliśmy nareszcie do przekonania, że na drodze stał mu głównie brak gruntownych studjów przedwstępnych. Artysta z jego talentem, wiedząc co zdziałać powinien, chce aby każdy szczegół odpowiadał całości a żaden nie miał stron słabych; lecz jeśli za młodu nie przyswoił sobie wszystkich tajemnic techniki, których w dobrej szkole malarskiej nie trudno się nauczyć, to błądzi potem, szukając sam owych dróg, które inni przed nim dawno wynaleźli. Z temi trudnościami walczą wszyscy autodydakci. Ponieważ tego rodzaju szamotanie się, ma do zwalczenia nieskończoną ilość przeszkód, więc artysta nie obdarzony żelazną energją łatwo może się zniechęcić, za czem idzie nieufność we własne siły.

Przepraszamy czytelnika, żeśmy dotknęli stron prywatnej niemal natury. Uczyniliśmy to jednak z rozmysłu. P. Wilhelm Leopolski mając talent tak niepospolity, chcąc nie chcąc musi zgodzić się na kontrolę publiczną — gdyż talent jego nie jest jego tylko własnością, ale kraju całego. Cierpkie słowa, któreśmy wypowiedzieli, podyktowała nam miłość dla sztuki i szacunek jaki mamy dla jego zdolności. Być może, że otoczenie w Monachjum, gdzie p. L. bawi od roku, zbawiennie nań oddziała, a jeżeli uwagi nasze, w najlepszej wierze skreślone, przyczynią się do ocalenia artysty, który dla sztuki mógł być na zawsze stracony, to chętnie za zuchwałość naszą narazimy się teraz nawet na gniew jego.

Portret znanego pjanisty Ludwika Marka, należy do najcelniejszych, jakie wydała nasza sztuka. Nie ma w nim brawury Matejki, wiodącej często na manowce, nie ma także drobiazgowości Rodakowskiego, która czasem graniczy z martwotą. Całość jest malowana śmiało, ze szlachetnością starych mistrzów; karnacja znakomita, oświetlenie niezwykłe, koloryt pełen życia, a charakter w oczach i na twarzy tak wybitny, że głowa ta nie wydaje się malowaną, ale żywą. Jaka rysunku i pędzlu delikatność, jaki wdzięk w całości! Pokażcie nam portret równie piękny. Artysta wzniósł się w nim po nad naturę, gdyż portretując drugiego artystę, schwycił całą jego indywidualność i ukazał go takim, jakim jest w pełni swego ducha, chociaż w życiu codziennem może nieraz inaczej wygląda. Nie znający nawet p. M. patrząc na jego portret musi powiedzieć: to artysta z talentem wybitnym. Umieśćcie ten portret w najpierwszej galerji, a nie zginie wśród innych.

A ta scena „w kościele“ jak ona wierna i piękna! Prawda że zaledwie podmalowana, rzucona od niechcenia, ale czy po tych klęczących postaciach, po tem dziewczęciu, które z ulicy wbiegło do świątyni pańskiej, po tej staruszce z ławek wychodzącej, i po tym dziadku kościelnym, nie poznacie artysty, który może nas obdarzyć znakomitemi pracami?

Koroną atoli utworów Leopolskiego, znajdujących się na tegorocznej wystawie lwowskiej, gdzie dostały się całkiem przypadkowo, bez wiedzy nawet samego autora, jest kompozycja przedstawiająca *Zgon Acerna*, o której z kolei obszerniej pomówimy.

Działo się to dnia 5. stycznia 1608 roku.

W szpitalu św. Łazarza w Lublinie, konał Sebastjan Klonowicz, poeta zwany Acernem.

Niegdyś był to obywatel zamożny i powszechnie szanowany, ale gdy w r. 1690 wmięszał się do spraw OO. Jezuitów, nieszczęścia posypały się na jego głowę. Zakon Lojoli nie mógł mu przebaczyć broszury *Actio in Jesuitas prima*, w której nazwał Jezuitów wrogami wszelkiego postępu; nie mógł mu zapomnieć *Worka Judaszowego* ani utworu *Victoria Deorum!* Nienawidząc tych, którzy zuchwale ośmielali się nań targnąć, zakon Lojoli głoszący z kazalnicy miłość bliźniego, zaczął Klonowicza ścigać z pogańską zaciekłością, a zabrawszy mu ziemię, piastowane urzędy, i namówiwszy szlachtę, podczas rokoszu Zebrzydowskiego, by mu zburzyła kamiecę w Lublinie — zmusił przedwcześnie osiwiałego, aby w szpitalu szukał schronienia!

Szlachetnego tego męża, który na cześć zasługuje nie tyle jako poeta, co obywatel kraju, umiejący kochać ojczyznę i cnotę, a nienawidzieć obłudy i brzydzić się występkiem, przedstawił nam Wilhelm Leopolski w ostatnich chwilach żywota, pełnego zawodów i doznanych niesprawieliwości.

Oto izba szpitalna ciemna, wilgotna, sklepiona — wyglądająca jak grób istny. W pośrodku stoi tapczan, na nim pościel nędzna — na niej umierający Sebastjan Klonowicz. Ciało jego wychudłe, pożółkłe — w żyłach krew przestała krążyć. Duch atoli nie porzucił jeszcze ziemskiej powłoki, oko dotąd nie przygasło. Z najwyższem wysileniem wsparł głowę na jednej ręce, i nie zważając na to, co się dokoła niego dzieje, przebiega w myślach burzliwe swoje życie, i ze spokojem człowieka prawego, który żyjąc zawsze uczciwie, niesprawiedliwych doznawał prześladowań, patrzy w światy zamogilne...

Inaczej wygląda osoba druga, która usiadła w nogach umierającego. Jest to Jezuita smukły, poważny, rozumny, którego zakon przysłał, aby skłonił Acerna do odwołania pism, wymierzonych przeciw Jezuitom. Wysłannik uczynił wszystko, co leżało w jego mocy, a teraz przestawszy mówić, wpatruje się bystro w zwiędniałe rysy konającego, chcąc z nich wyczytać walkę, jaką tenże według jego mniemania stacza w głębi swojej duszy. Próżne starania i nadzieje próżne! Sebastjan Klonowicz to nie człowiek, mogący odwołać dziś to, co wczoraj jako prawdę głosił. On umrze ze swemi przekonaniami, i dla tego zajęty wcale innemi myślami, na Jezuitę ani zważa teraz.

Tyle można wyczytać z obrazu Wilhelma Leopolskiego.

Dwa kontrasty, — człowieka, który za chwi-

lę rozstanie się z tym światem, a mimo to nie traci siły ducha, i Jezuity, który ufając swojej wymowie i przebiegłości, myśli nie tyle o zbawieniu duszy umierającego, co o powodzeniu swego zakonu, — ujął artysta po mistrzowsku i po mistrzowsku wykonał. Kompozycja nie potrzebuje komentarza, tłumaczy się sama przez się, a charakterystyka osób działających jest tak świetną, że dzięki jej mamy przed sobą chwilę, w której pęka węzeł dramatyczny. Leopolski nie potrzebował tłumu osób, ani znaków symbolicznych; jego dramat składa się tylko z dwóch postaci, a mimo to jest pełnym. Jak wiadomo, jeden tylko Grottger umiał wywoływać tak wielkie efekta tak małemi środkami. Wprawdzie na obrazie jest jeszcze osoba trzecia: lekarz wychodzący po lekarstwo, który z wyrzutem spogląda na Jezuitę; ale ta figura nie jest tu konieczną i w części rozbija jednolitość kompozycji. Widocznie artysta umieścił ją dla tego, że chciał wypełnić przestrzeń między Klonowiczem a jego fałszywym duchem opiekuńczym, która jest wielką, nawet nadto wielką. Zdaje nam się jednak, że całość znacznieby zyskała, gdyby miasto lekarza, artysta przysunął Jezuitę; wtedy lekarz okazałby się niepotrzebnym, a dramatyczność jeszczeby się podniosła bliskiem oddziaływaniem mówiącego faryzeusza na umierającego chrześcijanina.

Obie głowy są świetne, a jednak o ileż potężniejszą jest głowa Klonowicza. Oko najpierw na nią pada, w nią się wpatruje, w nią się wmyśla — ona sama będąc skończoną całością wywiera potężne wrażenie.

Mimo że obraz jest zaledwie w trzech czwartych wykończony, poznać, że go malował pierwszorzędny artysta. Rysunek czysty i poprawny, oświetlenie wzorowe, pędzel miękki — całość szlachetna. Akcesorje nawet są tak malowane, że śmiało mogą wytrzymać porównanie z akcesorjami Matejki. Mistrz krakowski jest w każdym punkcie genjalnie zuchwałym — p. Wilhelm Leopolskim jest wszędzie estetycznym. Tamten przepada za brawurą — ten szuka piękna.

Ktokolwiek nie mogąc zachwycić się *Iwanem Groźnym*, ani go należycie zrozumieć, spojrzy potem na *Zgon Acerna*, zatrzyma się przed nim długo, bardzo długo, i odejdzie z jakiemś dziwnie przyjemnem wrażeniem. Widz czuje się tem wzmocniony, że człowiek zacny nie ulegnie w walce z szatanem. Takie wrażenie powinna wywoływać sztuka, choćby przedstawiała scenę pełną boleści.

A teraz wytrwałej pracy, panie Wilhelmie Leopolski, bo kraj patrzy na ciebie!

(C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

II.

Durand, człowiek rozumny i odważny, zawiadujący sprawami Francji podczas nieobecności ambasadora, udał się do hr. Brühla z wymówkami za zrobiony wybór posła i to w takim czasie, gdy żywotne interesa Polski wymagały najostrożniej obchodzić się z dworami Wiedeńskim i Wersalskim. Brühl próbował wykłamać się przed ajentem francuskim, stanowczo dowodząc, że żadnego wpływu nie miał na wybór Poniatowskiego, a jeśli dzisiaj popiera go, starając się o pospieszne wyprawienie do Petersburga, to jedynie dla tego że pragnie, by Poniatowski z godnością odpowiedział nowemu przeznaczeniu. Wszystko to nie przeszkadzało Brühlowi zajmować się z największą troskliwością ekwipowaniem nowego posła. Wiedząc, że finanse dworu moskiewskiego były w złym stanie z powodu azjatyckiego przepychu, jaki na nim panował, że carowa Elżbieta lubiła rozrzucać pieniądze między swoich faworytów, które mogły być obrócone z korzyścią na potrzeby państwa, i na ostatek słysząc, że w. książę wraz ze swoją małżonką żyli prawie w ubóstwie, niezgodnem z ich stanem, wręczył Poniatowskiemu sześć tysięcy czer. zł., aby ten w razie potrzeby obrócił je na użytek w. księcia i w. księżnej, i tem samem zaskarbił sobie ich łaski. Poniatowski z wielkim sprytem użył rad i dobrodziejstw Brühla. Mając sobie z góry zapewnione serce w. księżnej, poświęcił się cały zabiegom około pozyskania względów w. księcia: rozmawiał z nim po angielsku i po niemiecku, pił wino i palił fajkę, wygadywał na Francję i Francuzów, a nie znajdował słów na pochwałę króla pruskiego. Zresztą udawał, że jedyną jego namiętnością były zabawy. Wkrótce atoli nie tylko Polacy lecz i Moskale potrafili przeniknąć jego dumne zamysły, i przyszli do przekonania, że dla egoistycznych celów zdolny był poświęcić wszystko, nawet swego panującego ze wszystkimi Czartoryskimi. Czas przekonał, że się na nim nie omylono. Mój Boże! i czegóż wtedy nie mógł dokazać człowiek rozsądny na dworze Petersburgskim. Jacyż to byli wtedy możnowładcy którzy rządzili monarchją?! — Sami rozpustnicy, oddani zbytkom i intrygom.

Tymczasem carowa Elżbieta nagle się zmieniła, a bigoterja rosła w niej wspólnie z lubieżnością; całe godziny spędzała na modlitwie, klęcząc przed obrazami, rozmawiając z niemi a nawet zasięgając rad u nich. Od bigoterji przechodziła do rozpusty, często upijając się, a wtedy traciła wszelką cierpliwość, jeśli ją nie prędko rozbierano. Wiedząc o tem, pokojowe ubierały ją w fastrygowane suknie z rana, by wieczorem prędzej ją rozebrać, obrywając nici.

Zaślepiona namiętnością w. księżna, zdawała się zupełnie nie pamiętać o surowych przepisach matki, co do zachowywania ostrożności, których w początkach nieźle umiała przestrzegać; wkrótce też z całą zuchwałością zaczęła naśladować ciotkę; nikogo teraz nie słuchała prócz Bestużewa, kawalera Wiljamsa i Poniatowskiego. Pewien cudzoziemiec obecny natenczas w Petersburgu, tak się wyraził o tych stosunkach: w. księżna nie jest w stanie dobrze rządzić się przy oszustwie i głupocie Bestużewa. Poniatowski był ciągle przy niej. Dla niego poświęcała wszystkie chwile wolne, wcale się z tem nie kryjąc; cały dwór głośno wymieniał młodego Polaka, jako ojca dziecka, którego się spodziewała; dziecię to, księżniczka Anna, urodziło się w lutym 1758 r. i zaraz umarło.

Na dworze znajdował się tylko jeden człowiek, który nie widział postępowania w. księżnej; był to w. książę. Nie wiadomo, czy to w skutek dawniejszego ostygnięcia jego miłości, czy też z powodu jawnie okazywanego z jej strony wstrętu do jego osoby, dość że bardzo rzadko z nią się widywał. Zresztą książę, więcej jak kiedykolwiek, oddał się manji naśladowania króla pruskiego. Nie tylko pożyczył od niego charakterystycznych ruchów lecz naśladował go nawet w głosie. Cały garnizon oranjenbaumski ubrał w mundur pruski, co także sam uczynił, a namęczywszy codzień żołnierzy niepotrzebnemi manewrami i mustrami, opowiadał potem podczas objadu, przy którym zawsze musiał się upić, że z czasem zawojuje całą północ i we wszystkim będzie naśladował Frydryka. Lecz jakaż różnica pomiędzy pierwowzorem a naśladowaniem!...

Wielki kanclerz nie ustając w zamiarach szkodzenia w. księciu, gorliwie dopomagał miłostkom w. księżnej, w nadziei, że gdy ta zasiądzie na tronie, zatrzyma go na posadzie. Zapominał on zupełnie o potrzebach monarchji, troszcząc się tylko o swoje; tak samo postępowali i inni ministrowie, którzy wszyscy byli jego kreaturami. Razumowscy, Szuwałowy, Czegłokowy, Naryszkinowie, Woroncowy i mnótwo innych osób należących do dworu, świadkowie godnego pogardy prowadzenia się monarchów, brzydzili się nimi w duszy, ale jawnie łasili się im w sposób najpodlejszy. Naród zaś, który nie mógł nie widzieć nierządu dworu, udawał, że tam wszystko odbywa się wzorowo, a czcząc w Elżbiecie krew Piotra W. nie troszczył się o jej wady. Taką to siłę wywiera ciągle wspomnienie prawodawcy rossyjskiego i do takiego stopnia niewolniczego posłuszeństwa został doprowadzony naród moskiewski.

Carowa Elżbieta nakazała jenerałowi Apraksinowi z 40 tysiącznym korpusem wojska wyruszyć w pomoc Marji Teresie, dla odebrania Szląska od króla pruskiego. Słysząc o zamiarze szkodzenia ubóstwionemu monarsze, w. książę wpadł w głęboką rozpacz i udał się do Bestużewa z najpokorniejszą prośbą, aby odwołano rozkaz i wojska. Bestużew nie lubił Fryderyka a przy tem był jednym z najgorętszych stronników dworu austrjackiego; przedewszystkiem zaś nie lubił wykonywać tego, co mogło się podobać w. księciu; lecz w tym czasie carowa Elżbieta mocno zasłabła, w. książę mógł zatem dziś lub jutro zasiąść na tronie, a Bestużew za jakąkolwiek cenę postanowił utrzymać się przy władzy; poświęcił więc miłości własnej osobistą nienawiść i honor monarchji, i posłał rozkaz jenerałowi Apraksinowi, aby nie rozpoczynał działań wojennych i natychmiast powracał z całym korpusem w granice państwa rossyjskiego. Lecz tym razem omylił się w swojej polityce.

Chociaż Bestużew miał wielu spólników, a jeszcze więcej adherentów, nie mniej jednak miał nieprzyjaciół, którzy podchwycili ten wypadek aby go obrócić na jego zgubę. Wiedząc, że dotychczasowa oziębłość w. księcia do w. księżnej potrafią zamienić na nienawiść i zatargi, przypuszczali, że tym sposobem zemszczą się na Bestużewie, jako na głównym winowajcy, który nie dość że zasiał nieufność pomiędzy nimi, lecz nawet tak usposobił carowę, że brzydziła się swoim siostrzeńcem. Po skombinowaniu tego planu, udali się do w. księcia, zwracając jego uwagę na zbyt częste schadzki Poniatowskiego z w. księżną; podpatrzyli ich ruchy i zapisywali słowa, które mogły nastręczyć sposobność wyciągnięcia czegokolwiek na ich niekorzyść. Pewnego razu przy kolacji, w. księżna siedziała naprzeciwko Poniatowskiego; mówiono o sztuce konnej jazdy, w której czasem odznaczają się także damy, i o niebezpieczeństwie, na jakie ztąd bywają narażone. Wtedy Katarzyna utkwiła wzrok w kochanku, i z zapałem odpowiedziała:

— Mało jest kobiet śmielszych odemnie; czuję, że jestem pełna nieustraszonej odwagi!

Słowa te zostały natychmiast powtórzone w. księciu, ze złośliwemi dodatkami w innym sensie. A gdy już dostatecznie obudzili w nim zazdrość, złożyli dostateczne dowody o występnym stosunku jego małżonki z młodym Polakiem.

Zdziwienie i przerażenie owładnęło księciem; gorzko zapłakał nad swojem nieszczęściem i hańbą. Odtąd wyrzekł się wszelkiego szacunku dla w. księżnej i zakazał Poniatowskiemu bywać w pałacu; następnie stanął przed carową i błagał ją o pomstę za swoją krzywdę, dodając, że kanclerz Bestużew nie tylko dopomagał rozpuście w. księżnej, lecz nadto zdradzał zaufanie samej carowej; na dowód zaś przytoczył rozkaz wydany przez niego jenerałowi Apraksinowi, aby ten opuścił Szląsk i powracał do domu. Dotknięta rozpaczą swego siostrzeńca i rozgniewana wiarołomstwem Bestużewa, caryca kazała natychmiast wziąć go pod straż. Następnie pozbawiony godności kanclerza, stawiony przed sąd i obwiniony o zdradę majestatu, skazanym został na ucięcie głowy; lecz Elżbieta złagodziła wyrok na wygnanie na Sybir. Na miejsce Bestużewa, został kanclerzem Woroncow.

(C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. ŚLEPOWRON.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Intrygi w obozie i wojna o zboże.

Barysi z Regiaf byli sprzymierzeńcami Belinian, i podczas naszej rozprawy z ostatnimi, ich bydło pozostawało na opiece Barysów. Ta okoliczność usprawiedliwiała moją ekspedycję.

O naznaczonej godzinie odbiliśmy od brzegu, płynąc siedm mil w zwodę, ale dostawszy się na zachodni brzeg, z powodu małego wiatru musieliśmy holować statki.

Okolica była bardzo piękna; wysokie granitowe skały spływały w coraz łagodniejszych pagórkach ku rzece, w pośród zielonej, grupami drzew urozmaiconej przestrzeni. Wsie były nadzwyczajnie liczne, żadnego jednak znaku życzliwości nie dostrzegliśmy u mieszkańców, którzy wybiegali z różnych wsi z nietajonemi oznakami nieprzyjaźni, wznosząc w górę strzały i gestykulując groźnie. Rzeka była na pięćset kilkadziesiąt kroków szeroka, a w niektórych miejscach wychylały się szare odłamy skał, oderwane od brzegów. Trzymając się ciągle jednej strony, holowaliśmy dalej nasze okręty, a kompanja wojska postępując brzegiem, zasłaniała nas od nagłej napaści. Krajowcy widocznie chcieli nam się oprzeć; trzymając się z góry powziętego systemu, zawsze dozwalałem im pierwsze robić kroki zaczepne, w ostatecznym już tylko razie chwytałem za broń. chcąc z początku pokojowemi działać środkami.

Wylądowawszy posunąłem się o kilkadziesiąt kroków w głąb wyspy. W pobliżu wznosiły się szczególne skały, które wyglądały jakby jakąś olbrzymią siłą napiętrzone odłamy czystego granitu, dochodzące do pięćdziesiąt stóp wysokości. Ku tym naturalnym schronieniom, zaczęli się garnąć krajowcy za naszem zbliżeniem. Doszedłszy o jakie sto dwadzieścia kroków, mój tłumacz wszczął z nimi rozmowę, oświadczając, że nie przyszedłem bić się z nimi, lecz tylko kupić zboże, i że dam im krowę za każdą stodołę czyli „gugu“ pełną niemłóconej dury; była to zwykła cena, za jaką krajowcy między sobą kupowali.

W odpowiedzi na grzeczną przemowę, obrzucili nas znieważającemi słowami, dodając: „Wy niepotrzebnie ofiarujecie nam wasze bydło, gdyż je zamierzamy sami wziąć siłą, a wy wynoście się do Khartum!“

Podczas tej rozmowy zbliżyłem się o jakie sto kroków; w tej chwili zostawali zupełnie w mojej mocy, lecz jeszcze oparłem się pokusie zupełnego ich zgniecenia. Traktowanie z dzikimi jest zawsze niekorzystne. Dając im czas i sposobność do pokojowych układów, i odpowiadając grzecznie na ich grubjańskie zniewagi, ułatwiałem im przez ten czas wyszukanie dogodnego stanowiska do ataku. Tysiąc razy mogłem ich mieć w swojej mocy, tak jak i w tej okazji, a rotowy ogień straszne mógł zrobić zniszczenie, lecz musiałem uzbroić się w cierpliwość, i czekać póki z ich strony pierwsze nie padną na nas strzały. Długo usiłowałem wyjaśnić im naszą pozycję, dając za przykład sąsiednich Belinian, i prosząc by mnie nie zmuszali do gwałtownych kroków. — Ja zboże mieć muszę — mówiłem z naciskiem — ich śpichlerze są przepełnione ziarnem, podczas gdy ja mam znaczne stada bydła, a więc przy tej zamianie obie strony mogą tylko być zadowolone. Za tę propozycję odebraliśmy znowu powódź słów obraźliwych.

— Ser — rzekł Monsor, który jak cień zawsze za mną postępował — pozwól niech strącę kulką tego draba, co tam stoi na skale.

Odmówiłem mu tej przyjemności, ku wielkiemu zdziwieniu moich ludzi, sam zaś odezwałem się jednocześnie do dzikich, że teraz będą musieli znieść konsekwencje swego postępowania. Na dany znak trąba zwołała całą siłę. Żołnierze z wielką gotowością opuścili okręty, a sformowawszy się, maszerowali przy odgłosie bębna. Pokazawszy wtedy cały mój zastęp, raz jeszcze odezwałem się do krajowców.

— Moi ludzie są głodni — zawołałem — jeżeli więc nie namyślicie się sprzedać nam zboże, weźmiemy je sobie darmo.

W odpowiedzi odsunęli się od nas, zaczynając palić fajki, i wydając urywany dziki okrzyk, który u krajowców oznacza pogardę dla nieprzyjaciela; na ostatku rzucili nam groźbę, że nas do nogi wytną, jeśli odważymy się na noc pozostać.

Ponieważ pokojowe układy z Barysami okazały się płonnemi, zająłem się przeto bliższem rozpatrzeniem tych okolic, które jako bardzo ludne, wzbudzały zawsze większy postrach w kompanjach handlowych niżeli inne.

Rozciągnąwszy wojsko w długi szereg, tak aby zająć przestrzeń pół mili, rozkazałem postępować naprzód zabraniając równocześnie wstępowania do chałup, pod jakimkolwiek pozorem. Żołnierze mieli tylko dobrze przypatrzeć się licznym wsiom, przez które będą przechodzili, i rękoma badać chruściane śpichrze, czyli są pełne. Te zgrabnie splatane budynki, zawierały po największej części czterdzieści szefli ziarna, ale były i większe, mieszczące nawet dwa razy taką ilość. Mieszkańcy zebrani w gromady, przyglądali nam się z różnych punktów, i w ten sposób przeszliśmy dwadzieścia do trzydziestu wsi, z których w każdej było co najmniej piętnaście pełnych śpichlerzy. Cała okolica obfitowała w durę i sesame, a jak daleko oko mogło zasięgnąć, widać było niezliczone wsie, które, biorąc miarę z tych cośmy obejrzeli, musiały być zbożem przepełnione. Z wysoko położonej okolicy Regiaf, rozlegał się widok na rząd urodzajnych wysepek rzeki, które jakby tworzyły jeden nieprzerwany szereg śpichlerzy ziarnem przepełnionych. Spoglądałem na nie przez lunetę, z uczuciem którego musieli doznać Izraelici, gdy manna spadła im wśród puszczy. Dzięki Bogu, nie zagrażała nam już śmierć głodowa, znaleźliśmy się bowiem w obiecanej krainie.

Pułk „Czterdziestu“ był zachwycony. Nawet oficerowie armji, którzy podpisali petycję, że okolica Gondokoro nie ma zboża, i dla tego trzeba wracać do Khartum. z rozpromienionem teraz obliczem witali bogactwo żyznej okolicy głośnem okrzykiem: *Mashallah!* Z mojego serca spadł również wielki ciężar; nie okazałem jednak mojej radości, przyjmując te rzeczy zimno jako całkiem naturalne, o których dawno byłem przeświadczony. Spojrzałem na oficerów i ludzi, a zwracając ich uwagę na jawne zaprzeczenie ich narzekań, jakoby w okolicy nie było zboża, powiedziałem, że nie znając tych stron tak stanowczo orzekli o ich zapasach, wszelako jeżeli zechcą na mnie polegać, zawsze ich zaprowadzę w kraj żyzny i bogaty. *Wah Illah!* — wykrzyknęli czarni oficerowie. „Pasza zna dobrze te okolice! Ktoby był pomyślał w Gondokoro, że o kilka mil znajduje się dość ziarna, by zebrać zapas na jakie dwa lata.“ „Co na dwa lata!“ odezwał się inny, „za dziesięć lat nie bylibyśmy zdolni zjeść wszystkiego tego zboża.“ „Moglibyśmy nawet codzień pić merisse,“ zawtórował jakiś amator gorących trunków.

Teraz uczułem ulgę, którą można porównać tylko z nadzieją sternika, którego łódź rzucana gwałtowną burzą ku skalistym brzegom, miała się już rozbić, gdy nagle zmiana wiatru odsuwa ją od ostrych skał, ocalając w chwili zwątpienia. Znajomość serc ludzkich spowodowała mnie do uchwycenia pierwszego zachwytu moich ludzi, aby im wypowiedzieć moje postanowienie. Obracając się tedy do armji, przemówiłem w gorących słowach, malując całą moją radość, że odtąd będę mógł powiększyć ich dzienne porcje, które dla braku zboża musiały być przez połowę zmniejszone. Poczem wynurzyłem wielkie moje niezadowolenie z powodu tak małego zbioru w okolicy Belinian, ganiąc surowo ich opieszałość, i dając przestrogę na przyszłość, aby nie zaniedbywali nadarzającej się sposobności zaopatrzenia naszych magazynów, gdyż ta okolica jest jedynym śpichlerzem, który nam dozwoli hojnie zaprowianтować się w zboże; jeśli więc tak samo jak u Belinian będą się lenić w pracy, porcje znowu będą zredukowane, ale niech sobie to dobrze zapamiętają, że nikt, czy to oficer czy żołnierz, pod żadnym pozorem nie opuści tych stron, i tylko ci, którzy będą mogli wykazać się lekarskiem świadectwem chronicznej słabości, zostaną odesłani do Khartum. Tym sposobem pozbędę się niepotrzebnych żołądków, które nie pracując muszą być żywione, a teraz dziękując

Bogu za jego łaskę, niech się wezmą energicznie do pracy.

Po tej przemowie udałem się z całą siłą ku opuszczonym przez mieszkańców wsiom, i opanowując je, kazałem okrętom zarzucić kotwicę, tuż przy brzegu graniczącym z osadami. Pułkownik Raouf Bej, któremu bez żadnych innych uwag wydałem krótkie rozporządzenie tyczące się nocnych kwater, był dziś w usposobieniu więcej melancholicznem, niż kiedykolwiek, a swoją postacią przypominał mi ilustracje Gustawa Doré zatraconych dusz piekła Dantejskiego.

Słońce miało się już ku zachodowi, a ja od dwudziestu czterech godzin nie miałem nic w ustach. Byłem bez mojej żony, która zawsze o tych rzeczach myślała, nie było zatem w czem wybierać, i rad nie rad musiałem zadowolić się skromnym objadem, sporządzonym przez mego Monsora. Uraczył on mnie zupą z bardzo wodnistej dyni, zgotowanej w wodzie bez soli, a na drugie danie była krajowa potrawa, zrobiona z mąki dury, ugotowanej na gęsto. Byłem bardzo głodny, i bardzo szczęśliwy, a więc skromną wieczerzę zjadłem z wielkim apetytem. Wkrótce położyłem się na rozpostartej krajowej macie, z klocem drzewa służącym za poduszkę, tuż przy ogniu, który Monsor rozpalił z suchego krowiego gnoju dla odstraszenia muskitosów, i tak spoczywając rozmyślałem jeszcze nad dzisiejszemi wypadkami, cały przepełniony radośnem uczuciem z powodu szczęśliwej zmiany, i długo jeszcze robiłem plany na dzień jutrzejszy, zanim zmęczony usnąłem.

Nazajutrz za pierwszym odgłosem trąbki, zerwałem się z pościeli, a dawszy pułkownikowi Raouf Bej rozkaz, by z jedną kompanją żołnierzy podpłynął pod wysepki, które się nam ukazywały, i wziął je w posiadanie, sam zabrawszy resztę wojska, puściłem się na południe. Przeszło trzy godziny maszerowaliśmy, rozglądając miejscowość, poczem uformowałem dwie stacje, w najdogodniejszej pozycji, rozdzielając moich ludzi na dwie kompanje, z których jedna była pod wodzą pułkownika Achmet, druga majora Abdullah. Stacje były od siebie na jedną milę oddalone, zkąd był doskonały widok na stojące przy wyspach statki. Po wydaniu szczegółowych rozporządzeń, i instrukcji oficerom komenderującym, powróciłem ku rzece puszczając się łodzią z powrotem do Gondokoro i polecając równocześnie Raoufowi Bej, żeby prędko naładowywał okręty zbożem, i napełnione odsyłał do naszej głównej stacji.

Spichlerze na wyspach były przepełnione, i tak blisko brzegów zbudowane, że statki można było z łatwością naładować.

W półtorej godziny płynąc szybko z wodą, dobiliśmy do naszego obozu. Widok łodzi powracającej samotnie, dał powód do najrozmaitszych przypuszczeń, i w chwili gdy stanąłem na brzegu, tłum składający się z oficerów, żołnierzy, wioślarzy i kobiet otoczył nas w przewidywaniu jakiegoś nieszczęścia. Zdaje mi się, że w naturze ludzkiej leży upodobanie do rozgłaszania dobrych nowin, to też zaledwie ludzie moi wyskoczyli na brzeg, usta ich nie zamykały się od opowiadania szczegółów naszej wyprawy.

Wielka była radość między Anglikami z naszego tryumfu; w parę minut wieść o powodzeniu rozbiegła się po całym obozie; oficerowie i żołnierze egipscy oddalili się z długiemi nosami, a czarne żony Sudańskiego pułku nie mogły się uspokoić ze szczęścia. Jak wiadomo, były to wolnością obdarzone niewolnice i zawsze im się zdawało, że gdy przybędą do Khartum, zostaną sprzedane; to przeświadczenie było mi bardzo na rękę, gdyż potrzebowałem domowego wpływu na moich ludzi, i często w rozmowach z żołnierzami regimentu „Czterdziestu“ nadmieniałem, że rząd nie dozwoli utrzymywać w Khartum tyle żon w jednym pułku. Sudańscy murzyni są nadzwyczaj szczęśliwi, gdy mają żonę, dość jeść i pić, i dla tego centralna Afryka zupełnie zaspokoiła ich życzenia, bo mogli używać szczęścia domowego z młodą żoną, gdy tymczasem w Khartum przedstawiała im się tylko smutna perspektywa siedzenia w brudnych barakach.

Jedyną myślą moją było teraz zaopatrzenie się jak najprędzej w zboże, wszystkie zatem pakunki z mego okrętu kazałem złożyć w magazynie, i 17. października wypłynąłem z żoną o szóstej rano, przybywając o czwartej po południu do jednej z wysp, zajętej przez pułkownika Raoufa Bej. Opanował on był tylko jedną wyspę, podczas gdy krajowcy z innych unosili zboże; wysłałem natychmiast jedną kompanję, żeby zajęła dalsze pozycje.

Na drugi dzień odprawiłem Raoufa Bej do Gondokoro, polecając, by okrętami odpływającemi do Khartum wysłał wszystkich chorych.

(C. d. n.)

OPRYSZEK.

Obrazek z życia Pokuckich Górali

przez

MARJĘ B.

(Dokończenie.)

Ale ona znów smutnie szepnęła:
„— Więc sieroctwo? ach, jak mi żal ciebie!
Ciężko snać cię dłoń losu dotknęła,
Żeś tak zwątpił o Bogu i niebie...
Lecz czyż nigdy w twej duszy nie błysła
Jasność tego pociechy Anioła,
Co nad czołem człowieka zawisła,
Gdy krzyż życia wytrwale nieść zdoła?
O! kto umiał tu cierpieć z godnością
Przy ubóstwie pełen świętej dumy,
Ten nad ludzkie samolubne tłumy
Promienieje nadziemską wielkością —
I ten zatknie na swym cichym grobie
Wiernie piękną różczkę ludzkiej cześci!
Ach, dlaczegoż nie pojąłeś w sobie
Majestatu chrześcijańskiej boleści?“

„— Czemu?“ — spytał z odcieniem goryczy,
„— Bo ubogim, opuszczonym byłem,
Ciemnem dzieckiem, nieznaczącym pyłem,
Który ludzkość w swe koło nie liczy!
O wielkości i sławie śniąc wiecznie,
Obłąkały się moje pojęcia,
Odkąd matki zabrakło objęcia,
Co tak jedna kochała serdecznie!
Wszystko, wszystko straciwszy z nią jedną,
Dziką szału rzuciłem się drogą,
Bo nie było na ziemi nikogo
Coby czuwał nad duszą mą biedną!...“

„— Nieszczęśliwy!“ — westchnęła dziewica —
„— Ale teraz, teraz gdy jaśniejszy
Promień myśli twe życie rozświeca,
Mógłbyś dzikie bezdroża porzucić...
Czy nie wierzysz w świat duchów piękniejszy?
Czy nie pragniesz doń czystym powrócić?“
Dymitr milczał... Z schyloną szedł głową,
W piersi burza wrzała mu szalona,
Bo dźwięk głosu — bo każde jej słowo,
Słodką płynąc melodją do łona,
Roztwierały przed młodzieńca wzrokiem
Jakichś światów nieznanych podwoje,
Promieniących nadziemskim urokiem,
Zkąd płynęły jasnych pociech zdroje,
W jego duszę uwiędłą, złamaną...
Lecz gdy wspomniał na swą przeszłość czarną,
Na swą przyszłość bez jutra — nadziei,
Na tę miłość szaloną a marną,
Co mu nigdy gniazdeczką świetlaną
W głuchej życia nie błyśnie zawiei —
Czuł — że podnieść się nie ma już siły,
Że dlań wszystko z tą chwilą umiera,
Bo uczucie, co pierś mu rozpiera,
Chłód już tylko przytłumi mogiły...

I nic więcej nie mówiąc do siebie,
Przechodzili przez łąki i góry,
Aż w jaskrawe zachodu purpury
Pochyliło się słońce na niebie.
Dymitr stanął bezsilny — złamany —
Bez tchu prawie, i wskazał w milczeniu
Na bielone jasne dworu ściany,
Co zdaleka świeciły w drzew cieniu.
Ona drżąca na kolana padła,
Wznosząc w niebo modlitwę dziękczynną;
A on patrzył na wioskę rodzinną,
I twarz zwolna jak marmur mu bladła!
Blask w szkarłatną stroił ją kotarę
Z chatek dymy wznosiły się szare,
W dziwnych kształtach wzlatując w błękity;
Słychać było fujarkę pastuszą,
I bydełko wracające z rykiem.
Pełnią życia, — tu śmiechem, tam krzykiem,
Wrzała wioska...
On przed tym obrazem
Stał samotny, wpatrzony weń łuszą,
Z jakiejś dzikiej rozpaczy wyrazem.
On tak nigdy po pracy i znoju
Do cichego nie wracał ogniska;
Nie znał ulgi dla swojej tęskoty
Ani własnej zagrody spokoju,
Ani kiedy dłoń tęskną sieroty
Ręka czyja z uczuciem uściska!
Długo patrzył natury syn hardy
W ten żyjących świat piękny — radosny —
Wśród którego stał sercem umarły;
Patrzył okiem boleści i wzgardy!
Aż powoli przeniósł wzrok miłosny
Na rodzinne swe bory i skały,
Co dlań swoje objęcia rozwarły,
Dając w zamian swobody — raj cały!
I w tej ciężkiej zabójczej godzinie
Gdy się w piersi rwały życia struny,
On nie ludzi — lecz żegnał jedynie
Ukochane Czeremoszu szały!
Błękit niebios — orły i sokoły —
Co z nim razem w lasach się chowały,
I pieśń — którą mu grały pioruny!...
A gdy wszystko pożegnał na wieki,
W piersi cisza grobowa zaległa,
I łza ciężka błysła z pod powieki
I po męzkiem obliczu przebiegła...
„— Idźcie, panno!“ — rzekł dźwięcznym już głosem,
„— Powróciłem rodzinne wam progi,
A rodzicom jedyne dzieciątko!
Lecz podziękę składając serdeczną,
Za jedyny w mem życiu dzień błogi,
Co pogodził mnie z ludźmi i losem —
O panienko! — ja proszę was jeszcze
Obdarujcie mnie jaką pamiątką!
Ach, pamiątką jedyną i wieczną,
Którą biedną mą duszę upieszczę!
Może zbawi mnie dar ten przeczysty! —
Ręką waszą zerwana gałązka,
Lub ta biała od sukni zawiązka —
Albo włosów pierścionek złocisty!“
I strwożony swej prośby śmiałością
Umilkł — oczy spuszczając ku ziemi;
A dziewczyna nań długo z litością
Spoglądała oczyma łzawemi;
Wreszcie zwolna zdjęła z swego łona
Złoty krzyżyk maleńki, błyszczący,
I gdy Dymitr stał blady i drżący,
Tak z dobrocią — doń rzekła wzruszona;
„— Wiem że złoto, mój bracie szlachetny,

Czynu twego nagrodzić nie zdoła,
Więc w podziękę przyjm dar ten nieświetny,
Który może dla ciebie pozostać,
Białem skrzydłem, zbawczego Anioła!
Bo gdy dusza zwątpienia już bliska,
Patrz w tę świętą Zbawiciela postać,
I twą boleść złóż pod stopy krzyża...
Lecz niech nigdy zemsta brudna, niska,
Twojej pięknej duszy nie poniża!“

On ukląknął i z drobnej jej ręki
Gdy przyjmował z pokorą dar święty,
Zadrżał nagle do głębi przejęty —
Bo przez lasy, parowy i skały,
Popłynęły długie rzewne dźwięki
Trąby górskiej...
To braterskie echo,
Co góralom przez bieg życia cały
Towarzyszy smutkiem lub uciechą,
Razem rzewna ponura i dzika,
Wszystkich uczuć wyraz w sobie mieści —
Razem w dźwięcznej swej piersi zamyka
Pieśń ich szczęścia — i jęk ich boleści!
Długo — długo z pochyloną głową
Słuchał, jak mu w tej chwili rozstania
Slała nutę przeciągłą, grobową —
Jakby wieczny uścisk pożegnania.
A gdy słabnąc i cichnąc nieznacznie,
Dźwięk ostatni skonał w oddaleniu,
Dymitr z ziemi zerwał się rozpacznie,
I rzekł z prośbą błagalną w spojrzeniu:
„— O panienko! Aniele światłości!
Gdy na wieki pożegnać cię muszę
Niezapomnij do Ojca litości,
Gdy góralską usłyszysz „Trombitę“
I jej echa o skały odbite —
Choć raz westchnąć za Dymitra duszę!...“

* * *

Rankiem Czeremoszu wody,
Na zielony brzeg pod skałą,
Wyrzuciły martwe ciało...
Był to wódz Opryszków młody.
W twarzy przystygł ból tęsknoty,
A skostniałe jego dłonie,
Na zakrzepłem cisły łonie
Promienisty krzyżyk złoty.

Maj 1874. r.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XIX.

(Ciąg dalszy).

(Plan Cyrusa Smitha. — Fasada Pałacu Granitowego. — Drabina sznurowa. — Rojenia Pencroffa. — Zioła pachnące. — Naturalna królikarnia. — Strumyk dla potrzeb domowych wyprowadzony z jeziora. — Widok z okien Pałacu Granitowego.)

Nazajutrz, dnia 22. maja, rozpoczęto roboty około właściwego urządzenia nowego mieszkania. Osadnikom naszym spieszyło się w istocie zamienić niewygodne schronienie w „dymnikach“ na to mieszkanie obszerne i zdrowe, wydrążone we wnętrzach granitu, zabezpieczone tak od wody morskiej jak i od deszczu. Co się tyczy „dymników,“ nie miano ich całkiem porzucać, lecz według projektu inżyniera, zamienić na warstat do wykonywania najgrubszych robót.

Pierwszą troską inżyniera było przekonać się dokładnie, w którem miejscu ciągnęła się fasada Granitowego Pałacu. Udał się przeto na wybrzeże, do samego podnóża granitowej ściany, a ponieważ kilof, wymknąwszy się korespondentowi z ręki, musiał spaść prostopadle, trzeba więc było tylko odszukać go, ażeby znaleść zarazem miejsce, gdzie wydrążoną została dziura w granicie.

Kilof znaleźli z łatwością, i w samej rzeczy prostopadle po nad miejscem, gdzie był ugrząsł w piasku, czerniał otwór dziewięćdziesiąt blisko stóp nad wybrzeżem. Kilka gołębi skalnych właziło i wyłaziło tym ciasnym otworem, jak gdyby właśnie dla nich odkrytym został Pałac Granitowy.

Inżyniera plan był taki, ażeby prawą część pieczary podzielić na kilka izb z przedsionkiem, i oświetlić takowe pięcioma oknami i drzwiami wydrążonemi we fasadzie. Pencroff ze swej strony zgadzał się na owych pięć okien, lecz nie pojmował pożytku z drzwi, skoro dawny kanał odpływowy tworzył naturalne schody, któremi zawsze łatwo było dostać się do Pałacu Granitowego.

— Mój przyjacielu — odparł na to Cyrus Smith — skoroby nam łatwo było wejść do mieszkania owym kanałem, to z równą łatwością przyszłoby to także drugim. Ja przeciwnie mam zamiar zamknąć zupełnie otwór tego kanału, zatkać go hermetycznie, a nawet, gdyby trzeba było, zasłonić go zupełnie, podniósłszy za pomocą tamy wodę w jeziorze!

— A jakże będziemy wchodzić? — zapytał marynarz.

— Zewnętrzną drabinką — odparł Cyrus Smith — drabinką sznurową, którą gdy wyciągniemy do góry, przystęp do naszego mieszkania stanie się dla drugich niepodobnym.

— Pocóż takich ostrożności? — odrzekł Pencroff. — Co się tyczy zwierząt, te nie wydały nam się dotychczas zbyt niebezpiecznemi, a co do dzikich, tych na naszej wyspie nie ma!

— Czyś pewny tego, Pencroffie? — zapytał inżynier mierząc marynarza wzrokiem.

— Pewni będziemy oczywiście dopiero wtedy, gdy wzdłuż i wszerz przejdziemy całą wyspę — odparł Pencroff.

— Tak jest — rzekł Cyrus Smith — dotychczas bowiem znamy tylko małą jej cząstkę. W każdym jednak razie jeśli nie mamy nieprzyjaciół wewnętrznych, możemy się za to lękać zewnętrznych, a podejrzane są te przestrzenie Cichego Oceanu! Przygotujmyż się więc na wszelki wypadek!

Cyrus Smith mówił mądrze, więc też Pencroff, nie spierając się dłużej, gotów był odtąd na wszelkie jego rozkazy.

Fasadę Pałacu Granitowego miano zatem zaopatrzyć pięcioma oknami i drzwiami prowadzącemi do właściwej części mieszkalnej, podczas gdy do owej wspaniałej nawy przeznaczonej na salę, miano wpuścić światło przez jeden przestronny otwór i kilka okrągłych okienek. Fasada ta położona dziewięćdziesiąt stóp po nad ziemią, wystawioną była na wschód, tak, że pierwsze poranne promienie słońca musiały padać na nią. Zajmowała zaś ową część kurtyny granitowej między zakrętem przy ujściu Dziękczynnej a linją wyciągniętą prostopadle po nad zwaliskami skał tworzących dymniki. Tym sposobem owe nieznośne wichry północno-wschodnie uderzały w nią tylko z ukosa, gdyż zasłaniał ją z tej strony róg ściany granitowej. Zanimby jednak oprawa okien była gotową, zamierzał inżynier zasłonić otwory okiennicami, któreby nie przepuszczały ani wiatru ani deszczu, a które w razie potrzeby możnaby było przymykać.

Pierwszem więc zadaniem było powydrążać otwory. Robota kilofem w tej twardej skale szłaby była zbyt powolnie, a Cyrus Smith, jak wiemy, był miłośnikiem wielkich środków. Posiadał jeszcze trochę nitro-glyceryny i zrobił z niej w tym celu wyborny użytek. Działanie tego eksplodującego płynu zlokalizował zręcznie i pod jego wpływem rozpękł się granit w miejscach powyznaczanych przez inżyniera. Poczem za pomocą kilofa i motyki nadali owym pięciu oknom, szerokiemu otworowi nawy, okrągłym okienkom i drzwiom kształt ostro-łukowy, ociosali z grubsza dziwacznie powyszarpywaną oprawę tych otworów i w kilka dni później oświetlony został Pałac Granitowy szerokiemi strugami wschodniego światła, które wcisnęło się do najskrytszych jego zakamarków.

Według planu nakreślonego przez Cyrusa Smitha, miało być mieszkanie podzielone na pięć przedziałów z widokiem na morze: po prawej stronie sień z drzwiami, do których przystawiać miano drabinkę, dalej miała być kuchnia trzydzieści stóp szeroka, pokój jadalny czterdzieści stóp szeroki, pokój sypialny tej samej szerokości, a w końcu, na żądanie Pencroffa, pokój bawialny przytykający do dużej sali.

Pokoje te, albo raczej ten szereg pokojów stanowiących część mieszkalną Granitowego Pałacu nie miał zajmować całej szerokości pieczary. W tyle za niemi, oddzielony kurytarzem, miał się ciągnąć długi magazyn, w którym narzędzia, zapasy żywności i inne rupiecie znalazłyby obszerne pomieszczenie. Wszystkie płody wyspy, tak roślinne jak i zwierzęce, mogły tam być wybornie przechowywane, bezpieczne od wszelkiej wilgoci. Miejsca nie brakowało wcale i każda rzecz mogła być systematycznie pomieszczoną. Zresztą osadnicy nasi posiadali jeszcze do dyspozycji ową małą grotę położoną powyżej głównej pieczary, a grota ta mogła w tem nowem mieszkaniu zająć miejsce spiżarni.

Nakreśliwszy raz ten plan, nie pozostawało nic, jak tylko go wykonać. Osadnicy więc nasi z minerów przedzierżgnęli się w ceglarzy; poczem poznosili cegły i porozkładali takowe u podnóża Granitowego Pałacu.

Dotychczas Cyrus Smith i towarzysze jego mieli tylko jeden przystęp do pieczary, a to przez dawny kanał odpływowy. W skutek tego rodzaju komunikacji, zmuszeni byli za każdym razem dokoła brzegiem rzeki wychodzić na Wielką Terasę, spuszczać się dwieście stóp w głąb podziemnym korytarzem i tyleż stóp drapać się do góry ażeby dostać się znów na Wielką Terasę. To pociągało za sobą wielką stratę czasu obok znacznego trudu. Cyrus Smith postanowił zatem przystąpić bezzwłocznie do sporządzenia silnej drabinki sznurowej, za której usunięciem Pałac Granitowy stawał by się absolutnie niedostępnym.

Drabinka sporządzoną została z wielką starannością, a wiązania jej uplecione z sitowia za pomocą kołowrotka, posiadały tę moc, co grube liny. Materjału na szczeble dostarczył rodzaj cedru czerwonego o lekkich a trwałych gałązkach, a cały przyrząd wykonany został po mistrzowsku przez Pencroffa.

Podobnie inne powrozy sporządzono z włókien roślinnych, a przy drzwiach Granitowego Pałacu ustawiono rodzaj improwizowanej windy. Tym sposobem wyciągano z łatwością cegły do góry aż do samych drzwi Pałacu. Transport materjałów doznał przez to znacznego uproszczenia, niezwłocznie też przystąpiono do wewnętrznego

urządzenia Pałacu. Wapna nie brakło a przytem posiadali także kilka tysięcy gotowych cegieł. Z łatwością wzniesiono drzewne części przepierzeń, dość krótkich i dość pierwiastkowego kształtu, całą przestrzeń podzielono na pokoje i magazyn, stosownie do powziętego planu.

Rozmaite te roboty postępowały nader szybko, pod kierownictwem inżyniera, który własnoręcznie dzierżył młot i kielnię. Żadna robota ręczna nie była obcą Cyrusowi, a miał w niej pracowników intelligentnych i gorliwych. Pracowali z ufnością a nawet wesoło. Pencroff w każdym charakterze, czy to cieśli, czy powroźnika, czy też murarza, zawsze miał żart na ustach, a dobry jego humor udzielał się także reszcie mieszkańców tego małego świątka. Zaufanie jego do inżyniera nie miało granic i nic nie zdołało go w nim zachwiać. Przypisywał mu zdolność do wszystkiego i powodzenie we wszystkiem. Kwestja ubrania i obuwia — zaiste nader ważna — kwestja światła w długich nocach zimowych, uprawy urodzajnych części wyspy, przemiany roślinności dzikiej na sztucznie wyhodowaną, wszystko to wydawało mu się łatwem przy pomocy Cyrusa i we właściwym czasie. Marzył już o kanałach wodnych, ułatwiających przewóz ziemiopłodów, o eksploatacji kopalń i min podziemnych, o maszynach do rozmaitych wyrobów przemysłowych, ba, o kolejach żelaznych, tak jest o kolejach, które gęstą siecią miały kiedyś pokryć wyspę Lincolna.

Inżynier nie przeszkadzał mu w tych marzeniach i nie burzył tych zamków napowietrznych, jakie budowała fantazja dzielnego marynarza. Wiedział że ufność, łatwo udziela się drugim.

Uśmiechał się więc tylko, nie zdradzając żadnem słowem niepokoju, jaki w nim rozbudzała czasem myśl o przyszłości. W tej części Cichego Oceanu, zdala od szlaku, którym płyną okręty, słusznie można się było obawiać, że godzina wybawienia nigdy może dla nich nie nadejdzie. Więc tylko na siebie i tylko na własne siły mogli liczyć osadnicy nasi, odległość bowiem wyspy Lincolna od wszelkiego lądu była tak wielką, że puszczać się na los szczęścia w okręcie słabo naturalnie zbudowanym, byłoby zbyt trudną i zbyt niebezpieczną rzeczą.

— Mimo to, jak mawiał marynarz, przewyższali o sto łokci dawniejszych Robinsonów, dla których każda rzecz równała się cudowi stworzenia.

I w istocie ludzie ci „wiedzieli“, a człowiek który „wie“ przebije się tam, gdzie drugi będzie wegetować i zginie bez ratunku.

W robotach tych odznaczał się Harbert. Był intelligentnym i czynnym, pojmował szybko i wykonywał dobrze, a Cyrus Smith przywiązywał się z każdym dniem bardziej do tego chłopca. Harbert sam czuł dla inżyniera żywą cześć i przyjaźń. Pencroff zauważył ścisłą sympatję zawiązującą się między nimi i nie był oto wcale zazdrosnym.

Nab był zawsze Nabem. Jakim był, takim pozostał zawsze: wcieloną odwagą, gorliwością, poświęceniem się i zaparciem. W panu swym pokładał ufność taką samą jak Pencroff, lecz objawiał ją w sposób mniej głośny. Gdy się marynarz entuzjazmował, Nab miał zawsze minę taką, jak gdyby chciał powiedzieć: „Ależ to rzecz najnaturalniejsza pod słońcem“. Pencroff z Nabem kochali się bardzo i wkrótce „tykali“ się wzajemnie.

Co do Gedeona Spiletta, i on brał udział we wspólnej pracy i nie był wcale najniezręczniejszym, — czemu zawsze dziwił się trochę marynarz. „Dziennikarz“ który nietylko wszystko rozumie, ale i wszystko umie wykonać!

Drabina gotową była ostatecznie dnia 28. maja. Na wysokość pionową dziewięćdziesięciu stopni liczyła niemniej jak sto szczebli. Cyrus Smith mógł na szczęście rozdzielić ją na dwie części, korzystając z garbu w ścianie granitowej, wystającego czterdzieści stóp po nad ziemią. Garb ten starannie wyrównany za pomocą kilofa utworzył rodzaj przystanka, w którym przytwierdzono jedną część drabiny, skróconej tym sposobem o połowę, a którą za pomocą postronka można było wyciągnąć na samą górę Pałacu Granitowego. Drugą część drabiny przymocowano za jeden koniec na przystanku, a za drugi do samych drzwi Pałacu. Tym sposobem ułatwiono bardzo wchodzenie po niej. Zresztą Cyrus Smith zamierzał później urządzić windę hydrauliczną, która mieszkańcom Granitowego Pałacu miała oszczędzić czasu i trudu.

Osadnicy nasi przywykli rychło do używania tej drabiny. Byli żwawi i zręczni, a Pencroff, który jako marynarz przyzwyczajony był do biegania po sznurowych drabinkach i linach okrętowych, mógł im udzielać w tem lekcji. Lecz trzeba było także udzielić jej Topowi. Biedny psisko ze swemi czterma łapami nie był stworzony do tego rodzaju akrobatycznych ćwiczeń. Pencroff jednak był nauczycielem tak gorliwym, że pies w końcu poddał się swemu losowi i właził po drabinie tak biegle jak jego współplemiennicy w cyrkach. Trudno powiedzieć czy marynarz zadowolony był ze swego ucznia. To tylko pewna, że nieraz dźwigał go pod górę na plecach, na co Top jednak nigdy się nie uskarżał.

Wypada tu napomknąć, że podczas tych robót wykonywanych z wielkim pośpiechem, gdyż zbliżał się już czas słot, nie zaniedbywano wcale kwestji pożywienia. Co dnia korespondent z Harbertem, którzy byli niezaprzeczenie dostawcami osady, spędzali kilka godzin na polowaniu. Dotychczas polowali tylko w lesie Jakamarowym, po lewej stronie rzeki, z braku bowiem mostu lub czółna nie podobna było przeprawić się na drugi bok Dziękczynnej. Owych olbrzymich borów, przezwanych przez nich borem Zachodniej Ręki, nie tknęła dotąd jeszcze ich stopa. Ważną tę wyprawę odłożyli do następnej wiosny. Las Jakamarowy jednak dostatecznie obfitował w zwierzynę, pełno w nim było kangurusów i dzików, a okute żelazem oszczepy, łuki i strzały dokazywały cudów. Co więcej, oto Harbert odkrył w południowo-zachodniej stronie lasu naturalną królikarnię, rodzaj łączki nieco wilgotnej, porosłej wierzbami i wonnemi ziołami rozlewającemi w powietrzu woń balsamiczną: tymiankiem, macierzanką, bazylijką, cząbrem i rozmaitemi innemi ziołami należącemi do klasy roślin wargowych, na które króliki niezmiernie są łakome.

Korespondent zauważył, że skoro stół nakryty dla królików, dziwnem by było, gdyby nie było w pobliżu samych królików. W myśl tej uwagi poczęli obaj myśliwi uważnie rozpatrywać się po łące. Na wszelki wypadek łączka ta wydawała mnóstwo roślin pożytecznych, a naturalista byłby miał sposobność poznać na niej nie jeden okaz świata roślinnego. Harbert zerwał po kilka garści bazylijki, rozmarynu, miodownika, bukwicy itp. posiadających rozmaite własności terapeutyczne i służących jako środki lecznicze przeciw chorobie piersiowej, kurczom, febrze spazmom, reumatyzmowi i innym. A kiedy go Pencroff później zapytał, na co się przyda ten zbiór ziół, odpowiedział:

— Ażeby nas uzdrawiać, gdy będziemy chorzy.

— Dla czego byśmy mieli chorować, kiedy tu przecież nie ma żadnych lekarzy? odparł bardzo poważnie Pencroff.

Na to nie było co odpowiedzieć, lecz mimo to Harbert nie zaprzestawał swej kollekty, która w Pałacu Granitowym została bardzo życzliwie przyjętą. Tem bardziej, że oprócz tych ziół lekarskich przyniósł ze sobą także pewną ilość dwulistkowej roślinki, znanej w północnej Ameryce pod nazwą „herbaty Oswegskiej“, dającej wyborny napitek.

Wreszcie naszukawszy się dość, trafił w końcu na właściwą królikarnię. Ziema podziurawioną była w tem miejscu jak warzecha.

— To nory! zawołał Harbert.

— W samej rzeczy, odparł korespondent, widzę je.

— Ale czy zamieszkałe?

— To inna kwestja.

Kwestja ta została natychmiast rozstrzygniętą. W tej samej bowiem chwili setki zwierzątek, podobnych do królików, pierzchnęły w najrozmaitsze strony, z taką chyżością, że sam Top nie mógłby ich dopędzić. Myśliwi i pies nabiegali się też dowoli, lecz strzyżaki wymykały się im z największą łatwością. Korespondent jednak postanowił nie ustąpić z miejsca, nie schwytawszy przynajmniej pół tuzina tych czworonogów. Chciał niemi koniecznie przyozdobić na początek spiżarnię, nie rezygnując zresztą niczego na przyszłość. Rozpostarłszy kilka siatek na otworach nór, możnaby było liczyć na pewny połów. W tej chwili jednak ani nie posiadali siatek, ani też nie było ich z czego sporządzić. Trzeba więc było poprzestać na rozkopywaniu kijem pojedyńczych nór i cierpliwością starać się dopiąć tego, czego nie można było innym sposobem.

Wreszcie po całogodzinnem kopaniu schwytali czworo tych strzyżaków. Były to króliki dość podobne do swych współplemienników europejskich a znane pod nazwiskiem „królików amerykańskich“.

Zdobycz ta zaniesiona do Pałacu Granitowego figurowała jeszcze tego samego wieczora na wieczerzę. Okazało, się że była to zwierzyna wcale nie do pogardzenia i w całem tego słowa znaczeniu wyśmienita. Tym sposobem otworzyło się osadnikom naszym drogocenne i jak się zdawało niewyczerpane źródło żywności.

Dnia 31. maja przegrody były gotowe. Nie pozostawało więc nic jak tylko umeblować pokoje, co miało stanowić przedmiot zatrudnienia w długich nudnych dniach zimowych. W pierwszym pokoju służącym za kuchnię wystawiono komin. Trochę kłopotu sprawiła improwizowanym naszym kominiarzom rura, przez którą miał dym odlatywać na dwór. Cyrus Smith uznał za rzecz stosowniejszą sporządzić ją z gliny wypalonej; a ponieważ niepodobna było przepuścić jej przez górne sklepienie, wydrążono zatem dziurę w granicie powyżej okna w rzeczonej kuchni, i przez tę dziurę przeprowadzoną została skośnie owa rura, jak to bywa przy żelaznych piecach. Bardzo prawdopodobnem a nawet niewątpliwem było, że przy silnym wietrze wschodnim uderzającym wprost we front Pałacu, komin będzie dymić,

wiatry te jednak były rzadkie, a zresztą pan kuchmistrz Nab nie bardzo dbał o to.

Ukończywszy wewnętrzne urządzenie Pałacu, zabrał się Inżynier do zatkania otworu dawnego kanału odpływowego, tak ażeby wszelki przystęp z tej strony uniemożebnić. Przywalono więc ten otwór olbrzymiemi bryłami i spojono je silnie ze sobą. Cyrus Smith na razie nie uskutecznił jeszcze swojego zamiaru zanurzenia tego otworu pod wodę przez podniesienie za pomocą tamy poziomu jeziora. Osłonił tylko miejsce gdzie był dawny otwór, zielskiem, krzewami i krzakami pozasadzanemi w szparach między bryłami, które na przyszłą wiosnę powinne się były bujnie porozrastać.

Mimo to skorzystał z kanału odpływowego w ten sposób, że do nowego pomieszkania przeprowadził z jeziora strumyczek słodkiej wody. Malutka szczelina wydrążona poniżej poziomu wody w jeziorze sprawiła ten skutek, a ta wąziutka wstęga czystej i nigdy nie wysychającej wody, dostarczała dwadzieścia pięć do trzydziestu galonów*) dziennie. Wody więc nie powinno było w Pałacu Granitowym nigdy zabraknąć.

Wreszcie gotowe było wszystko i to w sam czas, gdyż pora słotna była tuż za pasem. Grube okiennice służyły tymczasem do zamykania okien frontowych, zanim inżynier sfabrykuje szyby szklanne.

Gedeon Spilett bardzo artystycznie poustawiał dokoła okien w skalistych framugach rozmaitego rodzaju krzewy i pooplatał je wijącem się zielem, w skutek czego otwory, okolone malowniczą zielonością, sprawiały efekt wspaniały.

Mieszkańcy tak trwałego, zdrowego i bezpiecznego mieszkania musieli się więc zachwycać swem dziełem. Okna pozwalały im wybiegać wzrokiem na świat boży i bujać po nieprzejrzanym widnokręgu, który od północy zamykał przylądek Obu Szczęk a od południa przylądek Ostrego Szponu. Zatoka Stanów Zjednoczonych rozpościerała się przed nimi w całej swej wspaniałości. Zaprawdę, dzielni nasi osadnicy mieli prawo być zadowolonymi, a Pencroff nie szczędził pochwał temu, co żartobliwie nazywał „swoim apartamentem na piątem piętrze po nad mezzaninem!...“

(C. d. n.)

*) Jeden galon zawiera 4½ kwart naszych. (Przyp. tłum.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

Rozdział II.

Niedyskrecja nasza wprowadza nas w przybytek dziwnej architektonicznej konstrukcji. Powiedziałem już, że dwór w Rymiszowie powstał był z gruzów starożytnego zamku, czyli raczej, że był ruiną odnowioną, odbudowaną, odświeżoną i zamieszkaną. Z lat i wieków, które naprzemian burzliwie i spokojnie przemijały ponad całą okolicą Rymiszowa, został był spory kawał kamiennego budynku, o silnych sklepieniach, o ścianach sążniowej grubości, które sterczały nieobalone wśród pagórków utworzonych z rumowiska, pokrytego ziemią, porosłego trawami. Tu i ówdzie sklepienie zarysowało się było, urwało i pochyliło od pęknięcia granatu, rzuconego z tureckiej haubicy ale nie runęło. W dziedzińcu, na przeciw bramy, mur jak gwoździami, nabity był kulami działowemi, wystrzelonemi według wszelkich wskazówek oczywistości, z oddalenia nie przenoszącego kilkudziesięciu kroków. Snać kiedyś, nim wiele pokoleń spokojnie złożyło kości swoje w cmentarzach, twardsi od dzisiejszych ludzi walczyli o posiadanie tego miejsca. Kto nie widział takich murów, i takich śladów boju, niechaj zwidzi zamczyska nad Strypą, nad Seretem, Zbruczem i Smotryczem, a później niechaj oglądnie warownie Metzu, i niechaj mi powie, gdzie bliżej śmierci spozierano w oczy? Dosyć, że mury Rymiszowskiego zamku w tym stanie przetrwały parę wieków, a dziedzice Rymiszowa postawili sobie dwór u podnóża zamkowej góry, i mieszkali tam, rodzili się, żenili i umierali wśród ścian z pruskiego muru, pod sufitami z belek i tynku. Dopiero panu Tadeuszowi, człowiekowi nader pozytywnemu i nader pieniężnemu, przyszła fantazja zrestaurować starą ruderę. Najprzód tedy, kazał uprzątnąć gruzy, dotarł do poziomu pierwotnej budowy, rozpatrzył jej plan, i takim nakładem, który byłby wystarczył na kupienie niejednej wioski w okolicy, z podartych kulami ruin odtworzył zamek, od którego pradziad i prapradziad jego, i wielu jeszcze prapradziadów, zwało się „Zameckimi.“ Nie był to wszakże dziedzic imienia, któryby szukał sławy i odznaczenia w spadku po przodkach. Owszem, ile razy chciano mu pochlebić wspomnieniem, że jeden z jego praojców zarąbał komtura krzyżackiego pod Grunwaldem, pan Tadeusz kiwał głową i opowiadał, że praprawnuk tego praojca u Żółtych Wód pierwszy drapnął z pola bitwy, i że to jest faktem nierównie autentyczniej stwierdzonym, niż owo porąbanie komtura. W ogóle, kto słuchał pana Tadeusza, i kto przypatrywał się jego praktycznemu działaniu, tego nielada uderzać musiała sprzeczność między tym oczywistym brakiem pjetyzmu dla wszelkiej tradycji dziedzicznej, a troskliwością, z jaką nad wchodem do zamku zakonserwowano wykutą z kamienia tarczę herbową i napis „Jan z Bożny Zamecki, 1538.“ Pan Tadeusz twierdził, że było to z jego strony zamiłowanie w starych gratach, i nic więcej. To też i zrestaurowany zamek pełny był starych gratów, i otoczony był starym wałem z fosą, i obejmował niemało dziwacznych dla nowoczesnego oka apartamentów, dużych, półciemnych, wysokich i sklepionych jak kaplice grobowe. Znajdujemy się właśnie w jednej z takich komnat, umieszczonej w narożniku, mającym kształt niskiej wieży albo baszty. Jest to dzisiaj bibljoteka pani Heleny z Podwalskich Zameckiej.

W bibljotece tej, jak już powiedziałem, znajduje się sekretarzyk. Jest to mebel dziwacznego kształtu — dwieście lat temu był ołtarzem obozowym, jeżeli nie cały, to przynajmniej szafka, która go zdobi. Trudnoby zliczyć drzwiczki, słupki, zasuwki i szufladki, rzeźbione, malowane, i misternie schowane, z których się składa ta szafka. Trudno także opowiedzieć, jaki traf szczególny ocalił to ciekawe rupiecie od porąbania i spalenia w piecu. Dość, że pan Tadeusz, meblując się w swoim odświeżonym zamku, między innemi sprowadził i ten grat, osadziwszy go na odpowiedniej podstawie, a kiedy pani Helena obecnością swoją rozweseliła po raz pierwszy Rymiszów, wybrała sobie ten sekretarzyk i wyprosiła go sobie u męża, na „schowek tajemnic, o których on nigdy wiedzieć nie powinien.“ Pan Tadeusz zaśmiał się, patrząc na świętych Mikołajów, Bazylich i Mitrofanów, zdobiących szafkę, a oświadczywszy, że są to jednakowo nieprzystępne mu tajemnice, darował żonie mebel, który jej się tak podobał, i nie próbował nigdy zgłębić jego sekretów. Próba taka wymagałaby była zresztą nie mało cierpliwości, a w braku tejże, trzebaby było chyba porąbać piękne stare roboty snycerskie, pełne niespodzianek i kryjówek nieprzystępnych wzrokowi najwprawniejszego nawet ajenta policyjnego. Pani Helena należała wszelako do płci odznaczającej się cierpliwością, i znała swój sekretarzyk na wylot. Dla tego też w chwili, w której ośmielamy się zaglądnąć do jej bibljoteki, możemy między jedną deszczułką a drugą odkryć w tym sekretarzyku całe stosy cieńkiego listowego papieru, zapisanego drobniutkiem, eleganckiem kobiecem pismem.

Józef Ignacy Kraszewski, Dumas i Scribe zapisali niemało papieru w swojem życiu, ale z pewnością żaden z nich nie sprodukował tyle manuskryptu, ile go w przecięciu produkuje piśmienna kobieta. Pierwsza lepsza panna, w rok po opuszczeniu pensjonatu, jest autorką rękopisów, które wydrukowane, utworzyłyby bibljotekę. Zostawiła sześć przyjaciółek w konwikcie, i każdą z nich obdarza co tygodnia takim pisanym wylewem uczuć, spostrzeżeń, uwag, zachwytów, oburzeń, domysłów i pomysłów, jakiegoby życzyć należało młynowi o sześciu kamieniach, ażeby funkcjonował ku zadowoleniu swojego właściciela. Pani Helena idąc za mąż, nie wychodziła z pensjonatu, i nie miała ani jednej przyjaciółki, zdolnej i godnej przyjęcia poufnych zwierzeń, a pomimo to, potrzeba zwierzania się i wywnętrzenia z każdej myśli, z każdego urojenia, była u niej równie silną, jak u innych młodych mężatek. Ztąd poszło, że pani Helena od czasu do czasu pisywała niejako listy sama do siebie, i chowała je w owym sekretarzyku, pełnym sztucznych i niezbadanych kryjówek. Listy te, wzięte w chronologicznym porządku, tworzyłyby coś na kształt dziennika lub pamiętnika, i byłyby nader ciekawemi dla czytelnika niniejszej powieści, gdyby autor tejże był w położeniu wydrukowania ich w całości. Ponieważ atoli i warunki typograficzne, i plan z góry obmyślany zmuszają mię zamknąć rezultat niniejszego szpiegowstwa w ciasnych granicach jednego rozdziału, więc przeczytamy tylko te kartki z dziennika pani Zameckiej, które nam będą potrzebne do zrozumienia całego wątku obecnej powieści, a później dopiero będzie moją już rzeczą wyjaśnić, w jaki sposób udało mi się naruszyć tajemnicę misternych schowków sekretarzyka, i podzielić się z czytelnikiem jego treścią.

Najdawniejsze karty sięgają pierwszych początków mojego opowiadania, którego celem jest przedstawić jedną przynajmniej stronę strasznej walki, jaką w dzisiejszym bezbożnym świecie staczać musi z lodami pozytywizmu każda dusza, zdolna do zapatrywania się na to, co ją otacza, przez pryzmat łamiący powszednie światło dzienne na cudowną tęczę ideału. Otóż mamy zdanie pani Zameckiej w tej mierze:

Karta pierwsza.

„.... Mój mąż gniewa się, jeżeli kto mięsza wyraz „pozytywizm“ z pojęciem egoizmu, chciwości, braku uczucia itd. Mówił dzisiaj, że między pozytywistami a idealistami ta tylko zachodzi różnica, iż pierwsi widzą rzeczy, tak jak one są,

a drudzy tak, jak one im się lepiej podobają. On więc, jako pozytywista, widzi wszystko tak, jak jest. *Ce serait triste,* chociaż niestety, nieraz trudno wmówić w siebie to, czego się nie widzi i czego się nie ma. Ach, gdybym mogła! *A tout prendre,* ten Tadeusz Zamecki jest człowiekiem, którego nie znam i nie rozumiem. *Il semblerait qu'il est incapable d'une bassese,* ale z drugiej strony, nie podobna domyśleć się, gdzie są granice jego wspaniałomyślnych popędów, a przecież, granice być muszą. Bądź co bądź, zrobiłam terno. Mógłby być trochę mniej rozumnym, mniej dobrym i mniej ociężałym, a trochę młodszym i przystojniejszym, ale czy miałby w takim razie tyle dochodu, ile pragnęłam mieć majątku, i czy zapewniłby mi taką pozycję w świecie, jaką teraz zajęłam? To pytanie....“

„Dobrym jest, nieznośnie dobrym. Ciekawa jestem zobaczyć jego gospodarstwo na wsi, *je suis sure,* że mu wszyscy kołki ciosą na głowie. Przepyszna sytuacja dla klucznicy — żonie trochę nieswojsko z człowiekiem, któremu nic zarzucić nie można, oprócz tego, że nie jest Adonisem. *Du reste, il n'est même pas mal.* Dziwna rzecz, wiem że pod żadnym warunkiem i w żadnym wypadku nie wyrządziłby mi dziesiątej części przykrości, jakąby mógł wyrządzić mi inny, a przecież zdaje mi się, że się go boję. Kto wie, czy się w nim nie zakocham; wszak George Sand twierdzi, że kobieta kocha to, co w niej budzi albo litość, albo obawę. Czy można obawiać się, czego więcej, jak tego, co jest dla nas niezrozumiałem, niepojętem? Ha — *tant mieux pour lui,* będzie miał wzorową małżonkę, kochającą, nawet posłuszną....“

Reszta kartki zajęta jest refleksjami nad tem, czego wymagać i czego spodziewać się może w Karlsbadzie, Paryżu, Rzymie i Neapolu kobieta podróżująca z mężem, którego przychody nie są zawisłemi od dobrego humoru arendarzów. Ustępy te pominiemy, jako mniej ważne i zajmujące.

(C. d. n.)

List z wygnania.

*Spask d. 13. kwietnia 1875. Gubernia Tambowska.**)

Dnia 16. lipca r. b. lat dwanaście jak mi wolność zabrano. Ileż czas ten ubiegły zawarł wypadków, krwawych łez, głębokich westchnień i rzewnych rozczuleń, graniczących niekiedy z rozpaczą! Ale czas ten zimny, twardy jak granit nie zważał na nic, i jednych rozpraszał tu, drugich tam, a trzecich zabierał do grobu. I ja na skrzydłach zamieci uniesiony zostałem daleko, bo na smutną, wiecznie zadumaną północ. Oderwany od wszystkiego, doświadczając wszystkiego, co tylko pod miano obelgi da się podciągnąć, cały czas pędziłem pośród zadumy i tęsknoty, przygniatany niedostatkiem; jednakże pomimo tego wszystkiego, mnie niegodnego sługę ołtarza Bóg miał w swojej św. opiece, skoro dotychczas przy życiu mnie utrzymuje.

W Zamościu przemieszkałem 18 miesięcy, gdzie wyrokiem sądu polowego skazany zostałem na *posilenie* w Syberji, z pozbawieniem wszelkich praw stanu. Podróż odbyłem na Petersburg, Moskwę i Niżny Nowogród koleją, a dalej pocztą dzień i noc do Tobolska. Z tego miasta na Tomsk, Krasnojarsk do Jenisiejska, zkąd po przeprawie przez Jenisiej, tworzącej podstawę trójkąta, którego boki formują Jenisiej i Angara, dojechałem dwukołowemi wózkami do wsi Rybna na lewym brzegu Angary. Tu był koniec podróży wozem; 90 mil miałem jeszcze przebyć do miejsca wskazanego mi przez rząd, że zaś brzegi Angary wyniosło-skaliste, a wioski stanowiące stacje, leżą na jej brzegach lub wyspach, to też rzeka ta dla braku dróg jest jedyną komunikacją z pozostałym światem. W lecie na czółnach, w zimie saniami podróż po niej się odbywa. Ja, jakkolwiek nieprzyzwyczajony do podróży wodnej, przyparty koniecznością, dwa tygodnie po jej falach odbywałem podróż, holowany w górę nibyto przez pocztyljonów. Żegluga na niej nader niebezpieczna, z powodu porohów i raf podwodnych. Gmina Kieżma, a w niej wioska Zaimka leżąca na wyspie, przeznaczoną mi była na mieszkanie. Ostatniego lipca 1865 zostałem mieszkańcem tej wioski, a zarazem wyspiarzem angarskim. Wody wielkiej, szalonej rzeki, djamentowy nieboskłon, dziewicze bory, zamieszkałe przez koczujących Tunguzów, oto moi sąsiedzi. Cisza niczem nie zamącona panowała w wiosce, i woźny tylko wiozący ekspedycje rządowe, szybujący po Angarze przerywał milczenie, a zresztą nic i nic! W czasie podróży mojej straszne upały panowały, a zima rozpoczęła się 19. września i to bardzo nagle. W jednej chwili horyzont przybrał kolor ołowiany, i natychmiast śniegi wielkiemi płatami zaczęły padać. Mrozy szybko się zaczęły, a im silniejszy mróz, tem gęstsza mgła zalega okolicę. Podówczas to, duszność i brak powietrza dają się uczuwać. Ja, nosząc sobie wodę z Angary, musiałem stawać, aby chwycić powietrza; szkło w czasie takich mrozów pęka, a gorąca woda wylana w powietrze, syczy i lodem spada. Na tej wyspie mieszkałem sześć miesięcy, fundusze moje się wyczerpały; okropne było moje położenie, a mieszkańcy wioskowi nie potrzebowali parobków, chociaż rolnictwem się zajmowali; rząd zaś żadnego wsparcia nie udzielał. Nic nie miałem, i głodowa śmierć mnie oczekiwała; szczęściem przyszło rozporządzenie, ażebym przybył do Jenisiejska. Niektóre tedy rzeczy spieniężywszy za bezcen, wyruszyłem w 108 milową drogę; mrozy tak okropne panowały, że gdy rzemyka od chomąta się dotknąłem, palce odmroziłem, i przytomności tylko mojej winien jestem, że dotychczas palce moje w całości posiadam. Znużony, zmordowany podróżą, że zaledwie mogłem chodzić, a fundusze moje były prawie żadne, nareszcie przybyłem do Jenisiejska, gdzie zastałem dla siebie rs. 27. Z tą kwotą i z pensją dziennie 1 złp. wyruszyłem z kolegami na Wschód. Przejechałem po drugi raz Krasnojarsk, dalej Kańsk i oparłem się aż w Irkutsku, gdzie nas internowano bez względu, że na posileniu byliśmy wolni. Tutaj po przeprawie przez Angarę ruszyliśmy w góry, ale dokąd jedziemy, wszystkim nam nie było wiadomo. Nareszcie znaleźliśmy się we wsi Kułtuku, leżącej tuż nad Bajkałem, tym olbrzymie jezior, mającym wodę słodką. Góry na przeciwnym brzegu zdawały się bardzo bliskie, ale modra barwa ich szczytów zdradzała odległość; Bajkał bowiem przy zakończeniu swojem ma szerokości mil 7. Z tej wioski pojechaliśmy znowu w góry niebotyczne, w których po raz pierwszy napotkaliśmy jurty Burjatów, tych wyznawców indyjskiego Buddhy. Okoliczność zrządziła, że nocowałem w ich jurcie; że ja z nad Wieprza, byłem w jurcie synów Buddhy, jakąś dziwną, niepojętą wydało mi się sprzecznością, a jednakowoż jest to fakt. Nareszcie po trzech dniach drogi po parowach i górach skalistych, wjechaliśmy w kotlinę Sajańskich gór. Po niedługim czasie ukazał nam się krzyż, poczem wioska szeroko rozrzucona, a gdy przyjechaliśmy przed dom rządowy, oficer w pełnym uniformie nam się ukazał, oświadczając, że jest naszym zwierzchnikiem, i że tutaj mamy zamieszkać. Od niego dopiero powzięliśmy wiadomość o celu naszej podróży, i że Tunka wybraną jest przez rząd dla pobytu wszystkich księży. Wieś Tunka rozłożona po brzegach rzek Irkuta i Tunki. Początkowo w niej miesięcznie płacono nam rs. 3, później ta kwota podniesioną została do rs. 6, i takową faktycznie wypłacano nam do 1. lutego r. z. Wobec wysokiej ceny artykułów żywności, kwota powyższa była niewystarczającą, a władza wszelki zasiłek z kraju pochodzący potrącała w stosunku do pobieranej pensji. Mnie raz tylko z licytacji moich rzeczy przysłano rs. 50, i takowe mi potrącono.

Najwyższa liczba nas wynosiła 152 zebranych w całej wschodniej Syberji, i przybywających w różnych czasach w miarę ukończenia *brzękadeł.* Mieszkaliśmy różnie, stosownie do potrzeby i możności. Odprawiania Mszy św. surowo przestrzegano. Cywilnym bezwarunkowo zabroniono przybywać do Tunki, gdyż obawiano się jakiegoś wpływu. Do tej wioski przybyłem 5. maja 1866 r. i mieszkałem do 20. czerwca r. 1874. Czas mi upływał pośród tęsknoty, i cierpień od życia wygnańczego nieodłącznych. Zajmowałem się pracą fizyczną, np. rąbaniem drzewa, noszeniem wody, i pracą w ogrodzie, a książką wtenczas gdy mi zajęcia czas zostawiły, bo człowiek ma przecież ciało i duszę. Wszelka nasza korespondencja przechodziła przez cenzurę. Tytułu „ksiądz“ nie wolno było używać w listach do nas pisanych, pod karą konfiskaty pisma. Mieszkańcy Tunki, leżącej tuż na granicy Mongolji, stanowili skrzyżowany szczep słowiańskiego z mongolskim, i ona jest krańcem świata chrześcijańskiego, a początkiem indyjskiego. Jej okolice, a raczej kotlinę sajańską czyli step tunkiński zaludniają Burjaci. Mieszkają oni w jurtach drewnianych i prowadzą koczujące życie. Jakkolwiek bawią się rolnictwem, najczęściej zawodnem, z powodu wczesnych mrozów, chleba jednak nie używają; szeroko oni rozrzuceni po stepie mającym co najmniej 30 mil □. Mają swoją „pagodinę,“ czyli wyrażając się ich językiem „kumyrnię“ w ołusie czyli osadzie Kyreń, co do architektury przypominającą zupełnie nasze świątynie rzymsko-katolickie. Lud ten Burjatów im dalej od cywilizacji oddalony, im głębiej w kniejach sejańskich gór mieszka, tem większa jego moralność, tem on uczciwszy. Rolnictwo, chów bydła, polowanie i rybołowstwo, są podstawami jego dobrobytu. Podobieństwo pomiędzy osobami jest tak wielkie w rysach twarzy, ruchach i postępowaniu całem, że ja nocując w jurcie, gdy gospodarz wyszedł w sąsiedztwo, i z drugim powrócił, nie mogłem poznać, który z nich jest właścicielem jurty, w której zostaję. Jurta jest to pięciokąt drewniany, pokryty ziemią, z otworem u góry, mający małe drzwi. Na środku jego wiecznie ogień płonie, przy ścianach stoją przywiązane cielęta, a przy nich małe dzieci literalnie nagie, ażeby figlując nie powpadały w ogień. Na przeciw drzwi wisi na ścianie metalowy Burschan (Bóg) mający w ofierze postawione wszystkie płody ziemi, począwszy od wody, a skończywszy na jarej pszenicy. Naczynia kuchenne przypięte do ściany. Kilka ubiorów wyprawionych ze skór baranich lub sarnich, wojłok do siedzenia, oto wszystko co jurta zawiera. Gromada jurt nosi nazwisko ołusu; na tym stepie jest ich kilkanaście liczących po 5 do 100 jurt np. Uanłgarchan, Charszibio. Burjaci najwięcej dostarczali nam produktów, i chętnie z nimi przestawałem, a szczególniej z ich lamami, u których miałem względy, ja, lama z pod zachodniego nieba, jak mnie tytułowano. Tłumacz w stosunkach z nimi był jedynym pośrednikiem moim. „Mendu“ (jak się masz) sześćkroć razy należało powtórzyć, gdyż Burjat, jako „tała“ (przyjaciel) ciekawy był wiedzieć, jakie jest zdrowie żony, dzieci, stada itd. a potem przystępował do interesu. Duch człowieka układa się mniej więcej zawsze do natury; tunkiński step to płaszczyzna okolona górami, więc Burjat na swoim rumaku idąc na wyścigi z wiatrem, zawsze sobie nuci ulubioną pieśń narodową „Jochor jochor jochoria jochorozo natoje“ (pójdźmy, pójdźmy śpiewać, śpiewając ucieszymy się), ale tonem równym, przeciągłym płaskim jak step; nie masz w nim żadnej warjacji, żadnego uczucia, żadnej podniosłości ducha, ale śpiewa wedle swej natury dzikiej, której jest prawym synem. Dróg na stepie nie masz, ale Burjat nie błądzi; jego bystre oko to jego drogoskaz. Gościnność między nimi wielka. Burjat wchodząc do jurty, uderza naprzód czołem przed Burchanem, a potem siada obok ogniska, i natychmiast staje się członkiem biesiady. Na wiosnę „tarasun“ (wyskok z krowiego i kobylego mleka) jest ulubionym ich napojem. Oprócz koni, woły, krowy, służą im także za wierzchowce. Wieszczbiarstwo z ręki i szamaństwo (wypędzanie czartów) w powszechnem użyciu u Burjatów. Pogrzeby odbywają się przez proste wyrzucenie trupa na step; balsamowanie znakomitszych osób robią przez mocne nasolenie zmarłego. Ideę zagrobowego życia mają nader zamgloną. Małżeństwo zawiera się wprost przez kupienie niewiasty u jej rodziców, ztąd to ojciec wielu córek miany jest za bogatego. Lama przy odprawianiu nabożeństwa potrzebny jest w „pagodzie,“ ale przy wszelkich okolicznościach życia familijnego jest zbyteczny. Kapelusz żółty chiński wyróżnia go od wiernych. Lamowie są bezżenni, mogą oni spełniać obowiązki wieszczka, szamana, ale tym

*) List niniejszy, wystosowany do p. Mieczysława Potockiego, a nam łaskawie udzielony, umieszczamy dla ciekawych szczegółów o Burjatach, jakie w sobie zawiera, z opuszczeniem ustępów natury czysto prywatnej. (Przyp. Red.)

ostatnim urząd lamy surowo jest zabroniony. Oprócz obowiązków religijnych lamowie zajmują się jeszcze medycyną, i wszelkie lekarstwa mają sproszkowane w małych pęcherzykach; empirja w tym względzie najwyższą jest dla nich nauką. Na niektóre choroby mają radykalne lekarstwa, ale takowe utrzymują w sekrecie. Burjaci o swojej liczbie mają szerokie pojęcie i na pytanie, ażali w Polsce są Burjaci, gdy dałem im negatywną odpowiedź, zaśmiano się nad moją głupotą. Klimat tunkiński nader surowy i zmienny; gdy termometr podnosi się od razu do 16° od zera, lub odwrotnie, to rzecz powszednia, a noce pomimo upałów dziennych są nadzwyczaj chłodne. W takich to warunkach i pośród takiego ludu pędziłem to życie moje wygnańcze, nie wiedząc nic co się na świecie bożym dzieje, gdyż wszelkie pisma długi czas były nam zakazane. Czas płynął i płynął nareszcie zmianę przyniósł...

Ks. M. K.

POGADANKI.

XXIX.

Dziennikarstwo wiedeńskie posiada kreację humorystyczną, znaną szeroko w świecie pod tytułem „*der dumme Kerl von Wien.*“ Nie jest to, ściśle biorąc, pewna osoba, nacechowana takiem niepochlebnem mianem. Nie jest to także typ, ześrodkowujący w sobie charakterystyczne znamiona pewnej bardzo zresztą rozpowszechnionej liczby „osobników.“ Bynajmniej. *Der dumme Kerl von Wien* nie ma wyraźnej twarzy, nie ma ani właściwych sobie ruchów, ani sposobów wyrażania się, ani też niecnót innych oprócz tej jednej, którą wypowiada jego nazwa. Tę jedną wszelako posiada on w tak wysokim stopniu doskonałości, że jest w gruncie idealnem jej uosobieniem i upostaciowaniem, jak np. starożytna *Virtus*, albo *Justitia* były uosobieniem cnoty i sprawiedliwości. Dobry i zły genjusz Windobony, wszystkie bogi Olimpu i wszystkie nowożytne potęgi świata walczyłyby daremnie z nieśmiertelną, bezdenną, bezgraniczną głupotą, składającą się na to pojęcie. Zawartą w niem jest wszelka bydlęca naiwność, wszelkie rozmyślne nieuctwo, wszelka gnusność intelektualna i wszelka ruchliwość anti-intelektualna, na jaką zdobyć się mogą wielkie masy ludności. Jak istnieje „opinja“ publiczna, „sumienie“ publiczne, „zdrowy rozsądek“ publiczny, tak też istnieje i głupota publiczna, a dla Wiednia *der dumme Kerl von Wien* jest wyborną jej personifikacją.

Nie posiada wszelako Wiedeń przywileju na rzecz samą, posiada on tylko wyraz, który ją najlepiej maluje. Jeżeli w *Burgu* są pustki w najlepszem przedstawieniu, a w *Orpheum* sala jest przepełnioną, zasługa należy się *dem dummen Kerl von Wien.* Jego to dziełem jest, jeżeli lada pijany fijakier może spowodować zbiegowisko każdego czasu, a w dniach 13—15 marca cmentarze stoją pustką. On podtrzymuje prasę idjotyczną, a odejmuje soki żywotne każdej rozumniejszej publikacji, gdy jest skazaną na jego łaskę. On pierwszy wyprawia awantury z policją, gdy ta działa w interesie porządku, i pierwszy wzywa jej interwencji, gdy jest niepotrzebną. Wszystko to jednakże dzieje się i gdzieindziej, a tylko gdzieindziej nie umieją nazwać pierwiastku, sprawcy tych czynów. Póki filologowie i akademicy nie zgodzą się na jaką swojską nazwę, gwałtowna potrzeba zmusza mię tedy zapożyczyć się u Niemców naddunajskich i dopuścić się makaronizmu, konstatując, że istnieje między innymi także *der dumme Kerl von Lemberg.*

Jak wygląda? Nie wygląda wcale, albo raczej, wygląda na wszystkie możliwe sposoby, zajmuje najrozmaitsze pozycje socjalne i przepędza swój czas najrozmaitszym trybem. Czasem czytuje nawet, ba, pożera gazety w kawiarniach. On też pierwszy i ostatni wie, co stoi w *Głosie Wolnym*, on umie na pamięć afisze cyrków otomańskich, teatrów à la Mellini i t. d. On posiada talent wyszukiwania w dziennikach wszystkich wiadomości nieprawdziwych, i dawania im wiary, jakoteż przeoczania wszystkich doniesień autentycznych, lub niedowierzania rzeczom jasnym jak słońce. Jego to można zwabić do Krzywczyc albo i do Winnik obietnicą pokazania mu komarów w bengalskiem oświetleniu, i jego niepodobna namówić ażeby poszedł do ratusza i postarał się o lepsze oświetlenie rodzinnych swoich ulic.

Oczywista rzecz tedy, iż *der dumme Kerl von Lemberg* albo nie dopatrzył w dziennikach doniesienia, iż 19. bm. odbędzie się we Lwowie zjazd lekarzy i przyrodników polskich, albo jeżeli dopatrzył, to ruszył ramionami i uchwalił, że go to nic nie obchodzi. Trudno mu to mieć za złe, owszem, należy przyznać, iż tak być musi i powinno. Należałoby tylko zapobiedz, ażeby *der dumme Kerl von Lemberg* nie rozpościerał się tak szeroko, i postarać się o to, ażeby w podobnych wypadkach poza jego plecami podjął się kto reprezentować miasto.

Zjazd, o którym mowa, ma wielkie znaczenie w dwojakim względzie w naukowym i w narodowym. Cele naukowe, mniej przystępne profanom, są wszelako dość jasne, by każdy mógł pojąć, o co chodzi i jaki pożytek wyniknąć może z zetknięcia się ludzi, z powołania swego pielęgnujących najważniejsze pod teoretycznym i praktycznym względem gałęzie wiedzy ludzkiej. W znaczeniu narodowem, jest to jedyna sposobność, przy której Polacy z najodleglejszych zakątków własnego kraju i obczyzny mogą jedni drugim uścisnąć dłonie, i bez przeszkód stwierdzić jawnie duchową jedność swoją. Jedność taka, silnie i skutecznie wyrażona — t. j. jedność wiodąca do szlachetnych zdobyczy umysłowych, do rozwoju wiedzy w narodzie i do współdziałania w ogólnym postępie ludzkości, ważniejszą i cenniejszą jest od jedności politycznej, od bytu państwowego. Pomyślmy sobie, coby było, gdybyśmy mieli np. większą niezawisłość polityczną niż Rumunja, ale natomiast, gdybyśmy nie mieli nigdy Kopernika i Kochanowskiego, Mickiewicza i Śniadeckich, Matejki i Szopena? Bylibyśmy niewątpliwie stokroć słabszym, mniej żywotnym i bardziej poniżonym narodem. Wszystko więc, co zmierza do postawienia nas w równym rzędzie z innymi pracownikami cywilizacji, ma dla nas, dla przyszłości naszej, doniosłość większą od najszczęśliwszych konstelacyj politycznych, a nawet, bitw wygranych. Z tego zaś wynika bezpośrednio, że nie apatycznem milczeniem powitać nam się godzi polskich lekarzy i badaczów przyrody, którzy z Wilna i z Poznania, z Kijowa i z Krakowa, z Niemiec i z Francji, temi dniami zagoszczą w naszych murach.

Der dumme Kerl von Lemberg nie zrozumie tego oczywiście, i nie ma on nawet czasu do zajmowania się takiemi fraszkami, bo zirytował go właśnie Anczyc dotykając jednej z najważniejszych i najpoważniejszych kwestyj w sposób niegodziwie lekceważący i żartobliwy. Wydał książkę pod tytułem „Sennika“ — *der dumme Kerl,* zobaczywszy ją na wystawie księgarskiej, poszedł, kupił, i o zgrozo! zamiast kombinacyj ternów i ambów znalazł wyborny, bo popularnie a zajmująco napisany pamflet przeciw stawianiu na loterję, opilstwu i marnotrawstwu! Już to podobnoś tak, jak Anczyc umie pisać dla ludu, nie prędko kto inny potrafi. Czy nie piękniejby było, gdyby to np. pod katedrą we Lwowie albo na odpustach, zamiast „senników egipskich“ sprzedawano ten „Najprawdziwszy wykład snów“ Góralczyka? I Jezus Milatyński radowałby się pono, gdyby zamiast jego wizerunku, sprzedawano kopje obrazu Eliasza, przedstawiającego prześladowanie Unitów na Podlasiu. Cokolwiek krytyka powie o tym obrazie, to będzie musiała przyznać, że jak książki Anczyca są pisane, tak płótno Eliasza malowane jest dla ludu. Układ jasny i wyraźny, wybitność każdej postaci i jej psychicznego wyrazu, oto zalety, dla których malarz musiał poświęcić względy estetyczne, jeżeli chciał być zrozumianym przez tych, dla których obraz jest przeznaczonym.

Warto nakoniec wspomnieć, ażeby pocieszyć *den dummen Kerl,* że i o nim nie zapomniano temi czasy — owszem, p. Kozubowski wydał dla niego w Lipsku powieść p. t. „Rozgrzeszeni.“ Dzieło to robi takie wrażenie, jak gdyby smakosz z powodu zepsutego żołądka skazany na absolutną djetę, usiłował wynagrodzić sobie ten uszczerbek, natężając wyobraźnię, ażeby mu malowała lukullusowe uczty, lub raczej, nakrywanie stołu do uczt tego rodzaju. Gdy goście chwytają za widelce, zasłona spada, i kropki tylko każą domyślać się, że jedli, podczas gdy smakosz został sam z przesyconą wyobraźnią i filiżanką rumianku lub pieprzowej mięty. Wolno wątpić, by takie drażnienie podniebienia mogło wyleczyć chory żołądek, podczas gdy zdrowi wolą ponoś jeść, niż — wykropkować zastawiony objad.

Jan Lam.

STANOWISKO FILOZOFJI
KAROLA LIBELTA,
i stosunek jego do innych współczesnych filozofów polskich.

Napisał

DR. A. MOLICKI.

(Ciąg dalszy.)

Powyższe poglądy czy to w całości czy w części podzielali i inni nasi filozofowie. I tak Kremer, Cieszkowski, Gołuchowski, Tyszyński pojmują ducha również jako osobę, w przeciwieństwie do systemu Fichtego i Hegla. Niemirycz zaś odnośnie do teorji poznania, w związku z drugim punktem Libelta, utrzymuje, że filozofja bez wyższej zasadniczej idei wziętej apriori, niezdolną będzie nigdy rozwiązać zadań ludzkości *)

To co Libelt w ósmym punkcie tylko porusza, obszerniej nad tem rozwodzi się Mickiewicz, i jak powiedziałem, z całą czystością przedstawia pojęcie cechy „narodowości“ w filozofji. Trzeba wiedzieć, że równocześnie z tym prądem u nas, powstały podobne ideje o misji Słowian i u innych naszych pobratymców, jak np. u Czechów i Rossjan. Tam poeta Kollar, tu profesor Szewyrew rozwijali ideje polityczno-religijne z charakterem misyjno-słowiańskim. Ale kiedy oni zasadzali urzeczywistnienie tych idej na podstawie jakiejś nowej doktryny, na rozpowszechnieniu pewnych opinij, to u nas mniemano, że

---

*) Niemirycz: „Badania filozoficzne“ Warszawa 1869. I. 232.

może się to odbyć „tylko zjawieniem się jednego człowieka, jednej obejmującej wszystko osoby [1])". — Co się tyczy zasad, to przeznaczeniem filozofji „narodowej" czyli „misyjnej" jest najprzód „rozstrzygnąć całą kwestję słowiańską" — powtóre „rozwiązać najdawniejszą i najtrudniejszą ze wszystkich kwestję ludu Izraelskiego" — wreszcie „w obec Zachodu udowodnić swoją umiejętność, mądrość i siłę [2])".

Oto jak pojmowali to „posłannictwo" ci, których w całości ogarnął duch czasu. Około Mickiewicza można postawić i innych naszych poetów i filozofów, jak Garczyńskiego, Brodzińskiego, Krasińskiego, Słowackiego, Zaleskiego, Królikowskiego, Towiańskiego, Wrońskiego i Bukatego. O ile zaś Libelt był więcej szczegółowym w powyższych swoich punktach, o tyle w ogóle można powiedzieć, dzielił też i zasady wypowiedziane przez Mickiewicza.

Na tem kończymy rzecz o „narodowości" naszej filozofji. Przejdźmy teraz do drugiej cechy, i zobaczmy, jak tu przedstawia się Libelt w swoich pojęciach i w stosunku do innych spółczesnych filozofów polskich.

Wiemy jakie okoliczności złożyły się w najnowszych czasach na wytworzenie kierunku religijnego na Zachodzie, i jak u nas w skutek tego odbiło się to echo, tworząc cechę „religijną" w filozofji [3]). Ale nie tylko, musimy dodać, odbiła się ta ideja, lecz zarazem przeniosły się i owe pierwiastki, jakie ścierały się około niej na Zachodzie. Saint-Simon, Jouffroy śród Francuzów, — Straus, Bruno Bauer śród Niemców — to jeden oboz antichrześcijański, antikatolicki. A. Nicolas, Chastel, R. de Lorgues śród pierwszych, Solger, Schlegel śród ostatnich — to drugi obóz przeciwny. I u nas stało się podobnie. Na samym początku występują dwaj myśliciele, stając od razu na dwóch skrajnych stanowiskach: to Królikowski i Bochwic. Zauważył to już Libelt [4]), ale nie przeprowadził dalej, bo i krytyka jego obejmowała tylko swój czas. Rozważywszy jednak naszą historję filozofji do końca, widzimy że prądy te ciągną się aż do dnia dzisiejszego. Jedni za Bochwicem stoją na gruncie katolickim, drudzy za Królikowskim tworzą kierunek przeciwny. Inaczej mówiąc, tamci opierają się na wierze, i starają się pogodzić pojęcia rozumowe z jej zasadami; ci zaś opierają się na rozumie i naciągają zasady religijne do swoich filozoficznych poglądów. Mierząc ich taką miarką można około Bochwica postawić Cieszkowskiego, Gołuchowskiego, Stefańskiego, jako więcej filozoficznie traktujących, a F. Kozłowskiego, Ziemięckę, Chołoniewskiego, Jakubowicza, jako więcej religijnie. Około zaś Królikowskiego stać będzie Wroński, Tyszyński, Kremer, Trentowski, Libelt, Struve etc.

Mając więc już taki szkic, pozostaje nam wyłożyć tylko główniejsze poglądy tych filozofów, aby tem samem poznać bliżej i ich wzajemny stosunek, a więc i stosunek Libelta do nich wszystkich.

Przedewszystkiem potrzeba dobrze zrozumieć ich podstawy, na których się opierają. — Tak ci, którzy stojąc około Bochwica traktują więcej filozoficznie, jak ci, co więcej religijnie, przyjmują w zasadzie „Objawienie" za podstawę i kryterjum poznania. Bochwic nie kazał brać się do rozumowania bez uprzedniego ugruntowania się w wierze. „Wiara, mówi Kozłowski, nadaje przeświadczeniu i poznaniu charakter, zasłania je od znikomości i niepewności, a przenosi je w trwałość i pewność, czyli, w niej one z prawdą jedno się stają i ztąd same są prawdziwemi.... W filozofji więc chrześcijańskiej, „wiara" jest właściwie początkiem i końcem [1])." „Filozofja chrześcijańska, mówi jeszcze, oparta z jednej strony na przeświadczeniu, wierze i miłości człowieka, z drugiej strony na przeświadczeniu wszechmocności i mądrości Boga, zna Boga według Boga. t. j. według „objawienia" boskiego, mającego wyrażoną swą historję w „tradycji", w „piśmie św." i w nauce „Kościoła apostolskiego", i zna człowieka według idej, które się już to w boskiem objawieniu i onego trzech źródłach, już to w samej naturze ducha ludzkiego znajdują [2])." „Jeden tylko warunek, mówi Ziemięcka, kładzie religja zapędom nauki, warunek ogledności na „prawdy objawione", warunek „stosowania się do nich", jako do pewników boskich, wszelkich ludzkich teoryj [3])".

Zupełnie inną jest podstawa przeciwnego obozu. Po Królikowskim rozwijało ją kilku. Tyszyński naprzykład, choć równie gorliwy katolik jak Ziemięcka, przecież w teorji poznania daje pierwszeństwo rozumowi przed wiarą. Z osłabnięciem tradycji, mówi on, niedostateczną okazała się „wiara" w prawdę, lecz wynikła potrzeba „poznania" jej [4]). Według Dr. Kremera filozofja „cała" treść przedmiotową zamienia na „myśl" a zadaniem jej jest oswobodzić myślenie od wszelkich obcych pierwiastków [5]). Widzimy tu więc wyraźnie postawiony wyżej rozum nad uczucie, wiarę itd. Libelt chociaż na pozór zdawałoby się, że starając się wykazać ograniczoność samowładztwa rozumu, uniża go, a wyżej stawia wiarę, przecież on przez to pragnie tylko wykazać, że nie tylko rozum, ale i wyobraźnia i wola, jako równouprawnione władze, powinne mieć także swoją filozofję, tj. powinne być także uwzględniane w poznaniu [6]). „Filozofja naukowa, mówi wreszcie Dr. Struve, nie spuści nigdy z oka dwóch następujących rzeczy, po 1., że przyznanie objawienia boskiego, nie może być „zasadą", „początkiem" dociekań filozoficznych, lecz co najwięcej może być tylko ich rezultatem, końcem; i po 2., że treść objawienia boskiego nigdy nie może być „przeciwną" prawom rozumu, sprzeczną z temi prawami, gdyż prawa te są również „boskie" jak i samo objawienie [7])."

W obec takich prądów polemika była nieuniknioną. W obu obozach powstają różne czasopisma, jak np. w katolickim „Pielgrzym," pod redakcją Ziemieckiej, na początku piątej dziesiątki naszego wieku. Obóz zaś przeciwny ogłasza różne swoje rozprawy, już w „Przeglądzie naukowym" warszawskim, już „Haliczaninie" lwowskim, „Kwartałniku naukowym" krakowskim, „Roku" poznańskim itd. Owocem tych czasów jest wielka ilość rozpraw, mogąca stanowić osobny przedmiot w studjum naszej historji filozofji. Otóż w jednym z nich głównie, fj. w „Roku" poznańskim występował Libelt. Liczne jego rozprawy i krytyki zebrane w Pismach Pomniejszych (6 tomów), dają poznać dokładnie zapatrywanie autora na kwestję religijności w filozofji. Damy w tej mierze ogólną jego charakterystykę.

Z wielu bardzo rozpraw Libelta można się przekonać [1]), jak dalece jest on gorliwym chrześcijaninem, katolikiem; jak silnie jest przywiązany do kościoła, jego przeszłości, tradycji i jego wielkich celów. Chociaż zna wady jego i nastaje na ich reformę [2]), przecież nie odstępuje głównej nawy. Słowem, jako człowiek, wyznawca, Libelt jest katolikiem w całem znaczeniu. Inaczej się jednak przedstawia jako filozof, jako myśliciel, stojący na gruncie pewnych zasad czysto racjonalnych. Tutaj nie jest on wiernym synem kościoła, i dla tego też zamieściliśmy go po stronie akakolickiej razem z Tyszyńskim i innymi, najwierniejszym również jako człowiek katolikiem. Ten ostatni, powiedziałbym, jako filozof, nawet jest więcej katolickim niż Libelt. Wszelako jako dający pierwszeństwo rozumowi przed wiarą, jest jak Libelt i inni z nim stojący filozofem racjonalnym.

(C. d. n.)

1) Mickiewicz: „Literatura Słowiańska" wyd. 3. Poznań 1865. T. II., str. 375.
2) Mickiewicz: tamże T. II., str. 377—378.
3) Tu należy odnieść liczne tłumaczenia dzieł pp. A. Nicolas, Roselly de Lorgues, Maret, Lacordaire etc.
4) Libelt: „Filozofja i Krytyka" 1845, str. 185.

1) Kozłowski: „Początki filozofji chrześcijańskiej" Poznań 1845. T. I., str. 414—415.
2) Kozłowski: tamże T. I., str. 23.
3) Ziemięcka: „Zarysy filozofji katolickiej". Warszawa 1857, str. 148.
4) Tyszyński: „Rozbiory i Krytyki". Petersburg 1854. T. I., str. 48.
5) Kremer: „Wykład systematyczny filozofji". T. I. str. 8. i nast.
6) Libelt: „System Umnictwa" 1857. T. 1., str. 3.
7) Struve: „Wykład systematyczny logiki" 1870 T. I., str. 225.

1) Zobacz np. w „Pismach Pomniejszych" w t. I. rozprawę „O miłości ojczyzny," „Polska i Reformatorowie," „Pogląd w stosunki religijne Ameryki północnej," etc.
2) Zobacz np. w T. II. „Pism Pomniej." rozprawę „Jezuityzm Nowoczesny" str. 79.

Ze świata muzykalnego.

Dnia 3. i 4. lipca odbył się popis uczniów szkoły Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego w obec publiczności, którą przeważnie składały rodziny i życzliwi znajomi popisujących się osób. Że zaś każdy objaw muzykalnego rozwoju cieszyć nas tylko może, powodzenie zatem w takich razach bywa zapewnione, i nie brakło na serdecznych a do dalszej pracy zachęcających oklaskach. Aplaudowaliśmy zarówno dzieciom pokonywającym elementarne trudności utworów Beeyera i Rummla, jak niemniej i tym talentom, którym wyższe wykształcenie dozwala okazać pewną tendencję w traktowaniu sztuki, i które do wykonania Haendlów, Weberów, Beethovenów i Chopinów przystępują już z pewnem namaszczeniem.

Jeżeli popis Towarzystwa muzycznego ma nam służyć jak dowód postępów i pracy, to uznając pod każdym względem jego dążności, chcielibyśmy jednakże wypowiedzieć nasze słowo o sposobie urządzania tych popisów.

W programach popisowych znajdujemy nie mniej i nie więcej tylko 73 (mówię siedmdziesiąt trzy) sztuk, które mają uczniowie wykonać; z tych śpiew zajmuje l. 6 — skrzypce l. 6 — wiolonczela l. 3. a fortepjan l. 58 (!!) i to zdaje nam się za wiele. Jakkolwiek cała produkcja została podzieloną na 4 części, to przecież trzeba niezmęczonych sił i cierpliwości, wytłumaczonej do wszystkich uczennic przywiązaniem, aby tak kolosalnej dozy utworów, nawet w 4. oddziałach z równą wysłuchać uwagą. Egzamin z kursu przygotowawczego harmonji (pan Słomkowski) posłużyć może za najlepszy wzór do zaprowadzenia zmian w tym względzie, gdzie obecni będąc świadkami zadawanych uczniom pytań, z odpowiedzi najlepiej i najpewniej mogli wnioskować o zdolnościach i wykształceniu młodzieży.

Zamiast więc popisów zaledwie początkujących, a tak licznych uczniów, obok współudziału będących już na ukończeniu, popisów ogólnych, które nie mogą dać dokładnego wyobrażenia o stanie rzeczy, Towarzystwo Muzyczne powinno by każdego roku zaprowadzić oddzielne egzaminy, a na zakończenie roku szkolnego urządzić popis złożony z uczniów mogących się produkować koncertowo.

Tydzień czasu poświęcony np. w Czerwcu byłby dostatecznym do przekonania się o nauczycielskiej pracy i postępie uczniów. Uproszona w tym celu komisja egzaminacyjna, złożona z członków fachowych, w obec interesowanych osób i gości najpewniejszą byłaby wyrocznią, a rozdawane przez nią nagrody i premje, najlepszem świadectwem prawdziwej zasługi. Z amatorstwa bowiem pisane krytyki nieznanych recenzentów, których znaki symboliczne, lub pojedyńcze litery mają świadczyć o ich kompetencji i muzykalnem wykształceniu, nie dają żadnej rękojmji o sprawiedliwości ich sądu.

Po więcej szczegółowych egzaminach, któreby jaśniej wykazały kierunek działalności Towarzystwa z upłynionego roku, powinien nastąpić popis, i dzień ten należałoby rozpocząć pewną uroczystością np. wykonaniem mszy orkiestralnej w jednym z tutejszych kościołów, a następnie zakończyć rok koncertem wykonanym przez najlepsze siły uczącej się młodzieży, którego program składać powinne dzieła prawdziwie popisowe.

Jeżeli słów tych kilka co do zaprowadzenia zmian w urządzaniu egzaminów i popisów zasługują na uznanie, to pozostawiamy komu należy obrobienie podanej myśli, a całemu Towarzystwu Muzycznemu życzymy najprzyjemniejszych wakacyj.

Walery Wysocki.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Król i Bondarywna. Powieść historyczna Bolesławity — Lwów, Gubrynowicz i Schmidt — 1875.

Trudem jest zadanie powieściopisarza historycznego. Aby wiernie skreślić epokę zamarłej przeszłości, ożywić siłą fantazji postacie zaginione, przedstawić charaktery źródłom dziejowym odpowiednio; jednem słowem aby odtworzyć obraz epoki, z której wątek do powieści swej zaczerpnął, pisarz historyczny musi dwiema ścieżkami do celu zdążać: musi być poetą, aby wlać w historję ducha, historykiem, aby się od wyskoków zbytniej fantazji powstrzymać, z prawdą historyczną nie rozminąć, a mimo to czytelnika zająć. Historyczna treść niniejszej powieści sięga czasów epidemicznych miłostek Stanisława Augusta Poniatowskiego. Mniszchówna, marszałkowa, krewna króla siedzi wśród błyskotek salonu zadumana, tęskniąca, zapatrzona w śrebrzystość księżycowego światła. Marzy i duma snać o minionych zabawach w królewskich komnatach, tęskni za ulecialym bohaterem serc kobiecych. Wtem stary powiernik króla budzi ją z zadumy donosząc o nowej króla miłostce. Król zawiązał potajemnie znajomość z dala od Warszawy z dziewczyną ukraińską, przecudnej urody, o kruczych włosach i wodą Dniepru wybielałych licach. Dziwić się nie można, nudził się król jegomość, znudziły dawne bachantki, nowe miłostki musiały go więc zabawić, a dworacy potrzebowali nowego przedmiotu do intryg i plotek. Mniszchówna bądź z ciekawości, bądź z zazdrości, co zdaje się być prawdziwszem, zaprasza na poufną pogadankę starą pannę, przyjaciółkę od serca. powiernicę dworskich romansów. Wspólnie z nią wybiera się marszałkowa w ukraińskie strony, kędy jasnolica bohdanka króla gości, aby ją poznać. Fatalność jednak ciężyła nad wyprawą. W chwili bowiem, gdy próg wieśniaczej zagrody przestąpiły, zdążał i król w towarzystwie starosty, dowcipnisia, na miłosne gruchanie do bohdanki stepowej. Marszałkowa ukrywa się w przybocznej izbie, niewidziana, a król wita starego gospodarza, ojca Bondarywny (tak było jej na imię), który jednak na króla coś z ukosa spogląda. Chłop to bitny, zamożny, gdzieś za młodu wojował na stepach, zdobywał dobytek, człowiek to tajemniczej przeszłości. Na zadatek przyszłych pieszczot dobywa król brylantowy pierścionek i wkłada go na palec miłośnicy. Po tej wizycie Bondarywna w całej okolicy głośna dla krasy, jedynaczka starego Sydora, dziwnie posmutniała. Nie cieszą ją korale i czerwieńce rodzica, spogląda smętnie za gościem dostojnym, a myśli snują się po główce: ja taka urodziwa, a może i królową zostanę! — Stary Sydor nierad z tych odwidzin Lachów, pomruczał coś groźnie wraz z Maksymem wychowankiem swoim i wyszedł z chaty. W pałacu królewskim przygotowuje się plan dalszych intryg. Mniszchówna sprowadza malarza nadwornego do Warszawy, sprowadza i Bondarywnę aby ją portretować. Portretem tym chce królowi się przysłużyć i zarazem oznajmić, że tajne jego miłostki i jej są znane. Smętna ukrainka silnie wierząc, że zostanie królową, poddaje się wszystkim dworskim machinacjom. Marszałkowa z troskliwości dla króla wyszukuje Bondarywnie męża w osobie szambelana. Człowiek to ograniczony, łatwowierny, chciwy orderów i kasztelaństwa. Tu następuje zwrot w opowiadaniu nader szybki. Bondarywna zaślubia potulnego szambelana, i wśród godowych libacyj niepostrzeżona wraz z matką, która jej towarzyszyła wszędzie, ucieka. Szambelan zrozpaczony, zawiedziony żąda u króla Jegomości posłuchania. Król w odpowiedzi udziela Szambelanowi order na szerokiej wstędze i kasztelaństwo. Szambelan pijany zaszczytami zapomina o żonie. Bondarywna tymczasem jako pani nowożytnych salonów, w teatrach i buduarach olśniewa wszystkich. Miłość jej do króla dzika i namiętna, jak step na którym wzrosła. Pierwszy szał jednak minął, król zobojętniał, chłód zapanował w rozmiłowanem sercu. Radzi więc Bondarywnie, aby do szambelana znienawidzonego wróciła, gdyż i on pod osłoną mężowską będzie jej wierniejszy. Zniesławiona, zawiedziona w marzeniach, Bondarywna dziką zawrzała rozpaczą; szalona tęsknota za Dnieprem i stepem wstrząsnęła nią całą. Stara Sydorowa wraz z bezprzytomną donią, łzami rozpaczy pożegnała kraj nieszczęść i ohydy, zdążając do zagrody ojczystej. Wśród niemocy i wycieńczenia przywlokły się do ojczyzny, lecz w miejscu chaty dymią już tylko zgliszcza. Stary Sydor, chłop krwi żądny i pożogi, opuszczony przez żonę i córkę rzucił własną ręką głownię na strzechę, w której Bondarywnę wykołysał. Bondarywna umiera — a król — król jegomość w nagrodę doznanych roskoszy postawił pomnik na grobie ukrainki. Oto treść powieści. Nieznający nawet czasów Stanisława Augusta po przeczytaniu tej powieści może sobie odtworzyć obraz ówczesnych stosunków. Król szukał wrażeń miłosnych, dworzanie plotkami i intrygą w tem mu dopomagali; sejm radził, król się zgadzał na wszystko, aby się tylko z toku uciech światowych nie wyłamać, rządy go nudziły. Król i jego życie, dwór cały wraz z otoczeniem z jaką prawdą historyczną skreślone w tej powieści. Nie zasługi w obronie praw, nie męztwo na polu bitew, lecz miękkość ciała i sprzedajność serc zdobiono wstęgami i orderami. Był to czas przesilenia, nieszczęśliwego rozbioru; szalał naród, szalał król, aby się więcej nie obudzić. Prawda historyczna w opowiadaniu, znakomita charakterystyka króla i jego dworu, zręczne i lekkie szkicowanie faktów, gruntowna znajomość serc ludzkich, a wszystko w formie wykończonej—oto zalety dzieła, które skreślił pisarz znany tak zaszczytnie w literaturze polskiej.

— „Zawsze oni“ — obrazy historyczne i obyczajowe z czasów Kościuszki i legjonów. Dzieło pośmiertne Kajetana Suffczyńskiego (Bodzantowicza), z ilustracjami J. Kossaka i epigrafami W. Pola, nigdzie niedrukowanemi. (Z portretem Suffczyńskiego i Pola); Poznań nakładem J. K. Żupańskiego.

Mamy przed sobą dwa pierwsze zeszyty tej świetnej publikacji, na którą się złożyły trzy pierwszorzędne talenta: Suffczyńskiego. W. Pola i Kossaka. Nie będziemy tu rozszerzali się nad olśniewającym przepychem tego wydania, in foljo, na grubym welinie, czcionkami Martineta w Paryżu, —małą to bowiem jest zaletą tej księgi w porównaniu z atmosferą rycerskości, wiary, zamaszystości szlacheckiej, dobrotliwości i prostoty, jaka wieje z opowiadań w niej zawartych. Suffczyński odnowił tą pracą swoją w duszy naszej żywe wrażenie odniesione z pierwszych poematów szlacheckich Pola, i wprowadził nas z prawdziwie czarodziejską zręcznością w najpoetyczniejsze z naszych epok dziejowych: powstania Kościuszkowskiego i legjonów. Pierwsze dwa zeszyty zarysowują z wielką sztuką kolorytu tło ówczesnych szlacheckich obyczajów i zapoznają nas z głównemi bohaterami dalszej opowieści. Każdemu, kto pragnie odetchnąć całą piersią powietrzem szczęśliwej i szlachetnej przeszłości, gorąco polecamy to wydawnictwo. Składać się ono będzie z 30 poszytów, które wszystkie wyjdą w ciągu r. 1875. Całkowita przedpłata na nie wynosi tal. 30 w trzech ratach po 10 tal., przy odbiorze Igo, X, i XXgo poszytu.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura sztuka i nauka.

— Tegoroczna wystawa sztuk pięknych we Lwowie trwać już będzie bardzo krótko. Zwracamy na to uwagę publiczności.

— Teofil Lenartowicz, napisał nowy, 20to arkuszowy poemat pt.: „Słowianie w rzymskiej niewoli.“ Poprzedni jego poemat „Wanda“ nie pojawił się dotąd w druku.

— Pan August Jeske, autor niezmiernie cennego systematycznego kursu nauk przeznaczonego do pomocy w domowem wychowaniu dzieci, wydał świeżo u Arcta w Lublinie *Pedagogikę*, obejmującą zasady i metody moralnego, naukowego i fizycznego kształcenia dzieci. Pedagogika składa się z czterech działów, z których jeden poświęcony jest wychowaniu moralnemu, drugi fizycznemu, a z dwóch pozostałych jeden objaśnia zasady nauczania, drugi zaś wskazuje sposoby wykładania nauk. Pedagogika, będąca uzupełnieniem całego kursu nauk przez p. Jeske napisanego, jest podręcznikiem dla nauczycieli i osób kierujących wychowaniem dzieci, jest ważnym przyczynkiem dla naszej literatury tak ubogiej w tym mianowici: zakresie.“

— Niektóre z powieści świeżo zmarłej Wilkońskiej wyszły niedawno w przekładzie niemieckim pani Arndt w Stuttgardzie.

— W wystawie obrazów w pałacu przemysłowym w Paryżu wzięło udział przeszło trzysta kobiet. Pomiędzy niemi czytamy głośne imiona z arystokracji tak rodowej jak finansowej lub zdobytej potęgą intelligencji. Obok księżnej de Chevreuse widzimy baronowę Rotszyld i Sarę Bernhard, sławną artystkę teatru francuskiego. Obok imion kobiet, biorących udział w wystawie, czytamy nazwiska ich mistrzów. Między innemi pani Boutin, która wykonała na porcelanie piękny obrazek alegoryczny: „Pokój roznoszący obfitość“ podpisała się jako uczennica panny Mikulskiej. Artystka nasza mimo bardzo młodego wieku zgromadziła już w pracowni własnej starsze od siebie uczennice i wykłada im zasady sztuki, a sam fakt, że utwor pani Boutin przyjęty został na wystawę, świadczy o wartości szkoły naszej rodaczki.

— Pan Kazimierski, nasz ziomek, zamieszkały w Algierze, a oddający się oddawna badaniom historyczno-lingwistycznym, przełożył ponownie z języka arabskiego na francuski Alkoran i wydał go, wraz z oryginałem i komentarzami; zdaniem znawców jest to najgruntowniejszy i najlepszy przekład.

— Sławne malowidło Raffaela „Złożenie do grobu“ będące własnością rzymskich książąt Borghese, musi być zrestaurowane, ponieważ drzewo, na którem jest malowane, zaczęło się rozsychać. Książę udał się do Akademji S. Lucca, aby mu wskazała zdolnego restauratora.

— Dnia 1. bm. została otwarta w Dreźnie wystawa akademicka; najwięcej jest płócien rodzajowych i pejzażów.

— W paryskim teatrze „Gaite“ pojawi się w jesieni nowy utwor sceniczny pp. Sardou i Offenbacha pt. „Don Quixot.“

— Riccordi z Medjolanu, wydawca kompozycji Verdiego, otrzymał za czterokrotne przedstawienie we Wiedniu sławnego „Requiem“ i dwukrotne „Aidy,“ 17.500 guldenów, opera zaś wiedeńska zarobiła dla siebie 30.000 guld.

— W Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej niezmierny interes budzą obecnie wydane świeżo pamiętniki generała Shermana. Pamiętniki te naturalnie głównie odnoszą się do wypadków wojny domowej, w której autor tak ważną odegrał rolę, ale obok tego w niezmiernie ciekawem świetle ukazują żywot jego, wielce urozmaicony i najróżnorodniejszych przejść pełny, żywot jednem słowem, jakim tylko w Ameryce żyć można. Sherman był kadetem w amerykańskiej szkole oficerskiej w West-Point, geometrą w Kaliforni, inżynierem i przedsiębiorcą budowlanym, następnie adwokatem w Kanzas, bankierem w San Francisco i Nowym Yorku, naczelnym inspektorem kolei żelaznej w St. Louis, dyrektorem i profesorem Kolegjum w Luizjanie, komenderującym generałem zachodniej armji ochotników w wojnie domowej, a od ukończenia wojny generałem głównodowodzącym armją Stanów Zjednoczonych. Obecnie wzorem Cezara, wystąpił jako autor „komentarzy o wojnie domowej.“

— Dnia 23. maja rb. w auli uniwersytetu petersburgskiego Jan Niecisław Baudouin de Courtenay, dla uzyskania stopnia doktora językoznawstwa porównawczego bronił rozprawy swej p. n. „Zarys fonetyki (głosowni) gwarów rezjańskich.“ Rozprawa ta

przedstawiona wydziałowi zamiast zarzutów ze strony oponentów, dziekana wydziału J. Srezniewskiego i prof. Łamańskiego, wywołała tylko słowa zupełnego uznania, jako praca prawdziwie naukowa, świadcząca najkorzystniej tak o metodzie autora ściśle naukowej, jak niemniej o nieposzlakowanej (nieposzlakowanej) znajomości przedmiotu, które to cechy noszą na sobie i inne prace autora poprzednio ogłoszone. Oponenci zaliczyli go pomiędzy pierwszych znawców językoznawstwa porównawczego, a rada wydziału, oceniając dotychczasową działalność p. B., której dowody złożył w piśmiennictwach: polskiem, rossyjskiem, czeskiem i niemieckiem, przyznała mu stopień doktora językoznawstwa porównawczego. Jest to z kolei czwarty z uzyskanych przez Baudouina stopni naukowych: W r. 1866 ukończywszy uniwersytet warszawski otrzymał stopień magistra nauk filozoficzno-historycznych; w kilka lat potem stopień doktora filozofji w uniwersytecie lipskim; następnie w r. 1870 stopień magistra językoznawstwa porównawczego w uniw. petersburgskim za rozprawę: „O języku staropolskim do XIV wieku." Obecnie zaś będąc docentem uniwersytetu Kazańskiego napisał powyższą rozprawę o gwarach czyli narzeczach rezjańskich. (Jest to jedno z kilkunastu narzeczy słowiańskich, jakiemi mówi trzydziesto tysięczna ludność słowiańska mieszkająca do dziś w północnych Włoszech.) P. Baudouin otrzymał też był wezwanie do objęcia katedry języków słowiańskich w uniwersytecie Jagiellońskim, lecz jako stypendysta rossyjskiego rządu musiał się wpierw odnieść do swego rządu. Tenże wprawdzie mu nie bronił przyjąć ofiarowanej posady, jednakże postawił warunek: że jeśli rząd rossyjski usług jego potrzebować będzie powinien wrócić. Na taki warunek, rozumie się, ani nasz uniwersytet ani rząd austrjacki przystać nie mógł.

— „Przewodnik naukowy i literacki" (Lwów) w zeszycie lipcowym 1875 na str. 657 podaje wiadomość o podrabiaczu dyplomów, mianowicie fundacyj i nadań kościelnych, Stanisławie Morawskim. Wspomniał o nim już 1866 prof. Dr. Janota w opisie kościoła w Jaworniku niedaleko Myślenic, zamieszczonym w 3, 4 i 5 numerze „Pamiętnika krakowskiego". Pisemko to po niewielu numerach przestało wychodzić. Łatwo więc zawarta w nim wzmianka o Morawskim mogła ujść uwagi Dr. Kętrzyńskiego, autora obszerniejszej o nim wiadomości w „Przewodniku naukowym." Uzupełniamy tę wiadomość zapiskiem prof. Janoty znajdującym się na str. 22 „Pamiętnika krakowskiego". — Pod r. 1768 znajduje się w zapisach plebańskich kościoła jawornickiego odpis bardzo niezręcznie podrobionego dokumentu, zawierającego nibyto uposażenie kościoła w Jaworniku. Dokument ten mieli Szwedzi zabrać do Królewca, a 7-marca 1768 r. przynosi go stamtąd Stanisław Morawski i za sowite wynagrodzenie odpisuje go ówczesny pleban. Dla okazania, że Morawski okpił nieznającego się na rzeczy księdza, jeżeli może ten nie był z nim w porozumieniu, wystarczą dwa ustępy z tego dokumentu. Zaraz na początku czytamy: Ego strenuus vir Joannes in Czorsztyn Tarło, palatinus Vilnensis, fundata ecclesia Jawornicensi lignea tituli Exaltationis s. Crucis itd., koniec zaś opiewa: Quam fundationem meam eandemque in omnibus junctis hic positis approbando, confirmando et ratificando manu mea propria subscriptam sigillum meum pensile appono. Datum in villa mea hereditaria Jawornicensi die VIII. mensis Septembris anno Domini 1315. Pieczęć miała być umieszczona w puszce drewnianej. Pomijając błędne wysłowienie, przed wstąpieniem na tron polski Władysława Jagiełły nie ma mowy o wojewodach wileńskich, których Niesiecki wylicza popiero od r. 1413; o Tarłach wiadomości rodowe podane w Niesieckiem 4.306 nie sięgają dalej jak początku 15go wieku; prócz tego uderza brak świadków, a rzecz o własnoręcznym podpisie i drewnianej puszce na pieczęć śmiech wzbudza.

Konkurs.

— Komitet Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, postanowiwszy w roku bieżącym przeznaczyć sumę rubli srebr. trzysta na wydawnictwo kompozycyj muzycznych krajowych, wzywa niniejszem autorów pragnących wydać swe dzieła nakładem Towarzystwa Muzycznego, aby zechcieli takowe nadesłać pod adresem sekretarza Komitetu, na następujących warunkach: 1-o Wszelkie rodzaje kompozycyj, bądź większych, bądź mniejszych rozmiarów, nadsyłane być mogą, z wyjątkiem wszakże muzyki tanecznej. W razie nadsyłania kompozycyj wokalnych wymaganym jest tekst w języku polskim. 2-o Autorowie nadsyłający swoje dzieło do wydawnictwa, nie będą pobierali żadnych honorarjów od Towarzystwa. Jednakże po odebraniu przez Towarzystwo wyłożonych za wydawnictwo kosztów, reszta całego dochodu z wydawnictwa oddaje się autorom, również i prawo własności na wszelkie dalsze wydania przy autorach pozostaje. 3-o Do ocenienia nadsyłanych kompozycyj obraną została Komisja składająca się z 5ciu członków, a mianowicie: z Dyrektora Muzycznego Towarzystwa i dwóch członków Komitetu artystów, oraz z dwóch artystów, po za obrębem Komitetu, przez tenże komitet zaproszonych. W razie gdyby który z członków Komissji nadesłać chciał do wydania swoją kompozycję, wtenczas dla jej ocenienia, musi być na jego miejsce do Komisji zaproszonym kto inny z artystów. 4-o Ostateczny termin do nadsyłania kompozycyj mających być przeznaczonemi do wydania na rok bieżący naznacza się do dnia 31 sierpnia r. b. włącznie. Autorowie raczą wypisać wyraźnie swoje imiona i nazwiska, oraz miejsce zamieszkania. Utwory po rzeczonym terminie przysłane zaliczonemi będą do wydawnictwa przyszło-rocznego, o którem w swoim czasie szczegółowo będzie ogłoszono. 5-o O kompozycjach do wydania przeznaczonych, przez pisma publiczne doniesionem będzie. Po kompozycje zaś niemające być wydanemi, autorowie zechcą się zgłaszać do sekretarza Komitetu. Kompozycje po które autorowie nie zgłosiliby się w ciągu lat dwóch od ich przysłania, zostaną zniszczone.

Podróże, i odkrycia.

— Znany podróżnik Maclay wyruszy wkrótce do Nowej Gwinei, aby wszechstronnie zbadać tę wyspę. Prócz wielkiego okrętu wojennego, na którym wypłynie, bierze z sobą także łódź parową, aby w razie potrzeby wtargnąć w głąb wyspy przez spławne rzeki.

— Niedawno temu wyszło w Londynie dzieło pod tytułem: „Wanderings in the interior of New-Guinea" (Wędrówki po wnętrzu Gwinei) przez kapitana J. A. Lamson, które zwróciło na siebie w wysokim stopniu powszechną uwagę. Zawarte w niem wiadomości przeszły niebawem do wszystkich pism zagranicznych, a i my podaliśmy z nich niektóre, mianowicie wiadomość o odkryciu w głębi Gwinei najwyższej góry na świecie, nazwanej Herkulesem, dwa razy wyższej od Montblanc, a o 3000 stóp wyższej od najwyższych szczytów Himalaji. Książkę tę rozbierały na serjo najpoważniejsze pisma naukowe angielskie, jak „Academy" i „Saturday Rewiew". Tymczasem mają to być, od pierwszej do ostatniej stronicy same kłamstwa, wymyślone niewiadomo w jakim celu. Fałszerstwo to odkrył uczony niemiecki dr. A. B. Meyer, obecnie dyrektor muzeum historji naturalnej w Dreznie, który znając doskonale archipelag malajski, z łatwością mniemanego podróżnika na bredniach połapał.

— Najnowsze wykopaliska w Pompeji. Korespondent rzymski dziennika „Corr. Ital." pisze pod dniem 7. lipca: Jeśli odkryte w zeszłym wieku w Herkulanum szczątki rękopisienne, papyrusowe, budziły tak wiele zajęcia, to nierównie więcej zajmującemi dla świata uczonego będą znalezione w ostatnich dniach w Pompeji skarby epigraficzne. Dowiedzieć się z nich można o domowem pożyciu przedwiekowych Pompejan, dla tego też nabytek ten jest dla historyka nieoszacowanym i ma znaczenie stokroć donioślejsze od szczątków filozoficznych komentarzy szkół późniejszych rzymskich, jak znalezione w Herkulanum papyrusy. W dzielnicy Pompeji, obecnie rozkopywanej, jest grupa domów o wspólnym portyku; otóż w jednym z tych domów, przy rozkopywaniu tarasu ogrodowego znaleziono w wysokości drugiego piętra, w pokoju położonym nad tak zwanem *Ambulacrum*, szkatułkę drewnianą 180 centymetrów szeroką i prawie tak samo głęboką, zwęgloną zupełnie. Tkwiła ona w ziemi i przy dotknięciu rozsypała się próchnem. Było to przestrogą dla kopiących, aby postępowali z większą przezornością. Jakož przy dalszem kopaniu w miejscu szkatułki ukazywać się zaczęły tabliczki jodłowe rozmaitej wielkości, 118, 132, 120 i 83 milimetrów szerokie; niektóre są nawet znacznie szersze. Tabliczek takich wydobyto około 300. Większa część posiada brzegi grubsze, które stanowią rodzaj ramek. Płaszczyzna pomiędzy ramami temi wypełniona była cienką warstewką wosku, na którym pisano. Po trzy tabliczki powiązane były razem węzełkami tak, że zapisanemi stronami się stykały. Opakowano je starannie i odesłano do pompejańskiego muzeum w Neapolu, gdzie bezzwłocznie zarządzono przerysowanie napisów pod okiem uczonych archeologów.

Wynalazki i badania przyrody.

— Z Anglji donoszą o bardzo ciekawym wynalazku. Niejakiemu panu Lockwood udało się zgęścić piwo w ten sam sposób jak mleko, i utworzyć ekstrakt piwny, który redukuje objętość ulubionego napoju do dwunastej części objętości zwykłej. Wynalazek ten przyniesie nieobliczone korzyści przy przewozie piwa w kraje oddalone. Jedną tylko ujemną stronę ma ten wynalazek, gdyż do zgęszczania trzeba przystępować przed ukończeniem procesu fermentacyjnego, który trwa i kończy się dopiero za dodaniem wody przy rozrzedzaniu. Operacja taka naturalnie wymaga wielu aparatów kosztownych, a tem samem może być uskuteczniana tylko przy większych masach napoju. Zgęszczone piwo nie będzie mogło zatem być użytkowanem na okrętach, tak jak ekstrakt mleczny, chociaż spodziewać się należy, że wynalazcy uda się usunąć te przeszkody i liczne inne trudności.

— Na przygotowującej się w Paryżu wystawie geograficznej do najbardziej zajmujących działów będzie zdaje się należał dział szwedzki. Nadesłano już ze Szwecji kamień meteoryczny takich rozmiarów, że nie mógł pomieścić się w galerjach, ale musiano go umieścić na tarasie w ogrodzie tuilleryjskim. Prócz tego szwedzcy uczeni zamierzają podczas kongresu urządzić sztuczną zorzę północną. Rzecz zaiste ciekawa, jak wypadnie przedstawione przez ludzi nauki to wspaniałe zjawisko przyrody!

— Kosmopolityczne towarzystwo archeologów, które się niegdyś zawiązało było w celu poszukiwań na dnie koryta Tybru, zaczyna się poruszać z okazji mającego przyjść w wykonanie projektu Garibaldego. Tyber nigdy nie był badany systematycznie. Żydzi byli zawsze i są podziśdzień przekonani, że na dnie jego, w odwiecznym namule, spoczywa część łupów z Jerozolimy, które figurowały podczas tryjumfu Wespazjana. Ofiarowali oni po kilkakroć znaczne sumy za to, aby im pozwolono, podczas lata, odwrócić koryto rzeki, dla ułatwienia poszukiwań. Zawsze jednak otrzymywali odmowną odpowiedź, nawet za Napoleona I., ze względu na zabójcze wyziewy, któreby się musiały z poruszonego kanału wywiązać.

Nekrologja.

W ostatnich dniach ubiegłego miesiąca zmarł w Paryżu jeden z najznakomitszych francuskich rzeźbiarzy, Antoni Ludwik Barye. Zmarły liczył lat 79. Specjalnością jego były zwierzęta, które prawdziwie po mistrzowsku dłuto jego odtwarzało; zwano go też dla tego „Delacroix rzeźbiarstwa." Mnóstwo kamiennych i bronzowych jego lwów, tygrysów, panter, niedźwiedzi, koni, słoniów, gazelli, itp. pojedyńczo lub w grupach zdobią miejsca publiczne i prywatne gmachy, a najznakomitszą podobno z jego prac i powszechnie znaną jest lew spoczywający u stóp kolumny lipcowej, na placu Bastylji w Paryżu.

ROZMAITOŚCI.

— Jednym z najodważniejszych myśliwców i podróżników czasów naszych jest niewątpliwie Edward Mohr, Bremeńczyk. W roku 1863 przezedłszy Kalifornię i Południowo Zachodnią Afrykę, wydał opis tej podróży, nader interesujący, obecnie owocem jego nowej wędrówki po Afryce Południowej jest książka wydana w Lipsku u Hirta i Syna, p. t. „Nach den Victoria-Fällen des Zambezi". Najżywiej opowiada Mohr o polowaniach. Podajemy czytelnikom jeden z takich ustępów: „Już braknąć poczęło zapasów żywności w obozie naszym, gdy naraz przybyli dwaj Buszmani, noszący osobliwe nazwiska Ramurpisi i Kamarana, z wieścią, że masy zwierzyny w okolicach się kręcą. Towarzysze moi namówili mnie do skorzystania z tej okoliczności i zaopatrzenia ich za pomocą łowów w zapasy żywności. Z chęcią zgodziłem się na to,

i zaopatrzywszy się w broń, amunicję, okrycia, przyrządy do gotowania itd. itd. wyruszyłem z dwoma dzikimi przybyszami w drogę. Buszmani słyną ze swoich talentów łowieckich i namiętności do ciągłej włóczęgi, tak że istotnie cyganami Afryki Południowej możnaby ich było nazwać. Umieją oni nadzwyczaj zręcznie kopać doły służące na zasadzkę, zabijać kuropatwy rzutem dzidy w powietrzu, z widoku i lotu sępów odkrywają, kędy leży zwierzyna przez lwy zabita i dzielą się nią zwyczajnie z tym królem zwierząt; słowem, umieją świetnie żyć w swoich olbrzymich puszczach, w których Europejczyk niezawodnie umarłby z głodu. O 3ciej po południu wyszliśmy z obozu. Po kilku godzinach drogi dotarliśmy do kilku chat rozsypanych w lesie, z których gęsty dym się dobywał. Zdaleka już powitały nas wrzaski, a gdyśmy się nieco przybliżyli, wypadły na nasze spotkanie dwa czarne djabełki, dzieci Ramurpisiego, w kostjumie natury i rzuciły się ku ojcu, ale ujrzawszy białych ludzi, którzy się im wydali prawdziwymi potworami, zatrzymały się nagle i wrzeszcząc z całego gardła, umknęły jak spłoszone zwierzęta. Idąc wślad za niemi weszliśmy wnet do chaty Buszmana. Małe djabełki uspokojone nieco i obdarowane przez ojca szklannemi perłami, które odemnie otrzymał, zerkały na nas z kąta. Pani Ramurpisi, wcale nie tak brzydka, jak sobie wyobrażałem, pomimo grubych warg i zakrzywionego nosa, przyjęła nas nader uprzejmie. Po krotkich pieszczotach z dziećmi, wyszedł Buszman z nami, żona w bardzo cywilizowany sposób pożegnała go i patrzyła jeszcze chwilkę w ślad za nami, dopokąd nie zniknęliśmy w lesie. Na słowach: j e b o, tak; a j k o n a nie; I n j a t i bawół; I n c o n c o ni, żebra; M o n a t o, miód i kilku jeszcze innych kończył się cały mój zapas filologji buszmańskiej; ponieważ jednak i im i mnie chodziło o wytropienie jakiego dobrego mięsa, rozumieliśmy się doskonale. Wkrótce doszliśmy do miejsca, kędyśmy mieli się rozłożyć na czaty. Buszmani opatrzyli dobrze miejscowość, czy nie ma gdzie w okolicy jam wężowych, następnie wybrali kawałek ziemi między dwoma wysokiemi drzewami, wypalili troskliwie trawę i rozesłali moje kołdry na niej. Przed nami rozciągały się żółte piaski; o pięćset kroków na lewo znajdowała się wielka płaszczyzna wodna, w około której tysiące tropów zwierzęcych czerniało. Zatrzymaliśmy się umyślnie w pewnem oddaleniu, ażeby zwierzyny nie spłoszyć przed czasem, gdy przyjdzie poić się w nocy. Ognisko nasze po ugotowaniu kawy i wieczerzy, zostało przygaszone, z pozostawieniem tylko odrobiny żaru. Obdarzywszy jeszcze moich towarzyszów tytuniem do fajek, ułożyłem się do spoczynku; wkrótce i oni to samo uczynili. Przy mnie, leżało pod ręką pięć nabitych strzelb, zabezpieczonych kołdrami od rosy. Noc przeszła spokojnie; budziłem się jednak kilka razy. Księżyc złotawy świecił nad blado żółtą piasczystą przestrzenią; bez szelestu prawie schodzące się do wody Antylopy rzucały długi cień na ziemię; czasami zaś gdy zawęszyły nasz obóz, lub posłyszały przygłuszony wark niespokojnych psów, stawały jak skamieniałe, a potem jak błyskawica pomykały po brzegu. Zresztą najgłębsza panowała cisza. Na godzinę dopiero przed świtem widocznie drapieżników naschodziło się więcej, bo wrzawa była od chwili do chwili ogromna. Właśniem się obudził z porannej drzemki i usłyszałem świergot ptaków, światło już było dostateczne do strzału. Nagle uczułem leciuchne dotknięcie. Stary Buszman Kamarana, jak pantera gotująca się do skoku, przyczaił się na ziemi i wskazywał mi na położony za nami brzeg rzeki. Chwytam natychmiast za dubeltówkę i pełznę za nim razem naprzód. Po kilkunastu krokach zatrzymuje mnie i wskazuje na pobliskie zarośle. Wnosząc z gwałtownego wzruszenia jego, sądziłem w pierwszej chwili, że odkrył jakieś wielkie zwierzę, i bystro wpatrzyłem się w gąszcz; nie odkryłem nic jednak. Ale Buszman uparcie wciąż w to miejsce wskazywał. Spojrzałem tedy nieco wyżej i wtedy dopiero spostrzegłem przedmiot jego wytężonej uwagi. Było to stado wielkich kozłów, z potężnemi rogami, kryjące się w gęstwinie, najwyżej na 45 kroków od nas. Przysłuchiwały się one i poruszały bacznie długiemi, do oślich podobnemi uszami. Chwila jeszcze i jużby ich nie bylo. Niezwłocznie tedy, biorąc z dołu, wymierzyłem w stojące wprost mnie zwierzę i wypaliłem z jednej lufy, a z drugiej do drugiej antylopy. Chwilę stała w pośród dymu, nagle jedna zadrżała i padła; stożkowa kula na tak bliski dystans przeszła na wskróś, ugodziwszy ją w serce. Na odgłos strzału, wielki mój chart Jack wyrwał się i puścił w pogoń za antylopami, z których jedna jeszcze ranną była. Długo nie mogłem pojąć, jakim sposobem Buszman wypatrzył tę zwierzynę, której z pozycji naszej żadną miarą spostrzedz nie można było; potem dopiero odkryłem, że ją usłyszał. Słuch ich jest istotnie cudownej bystrości. Wypatroszono zdobycz, zjedliśmy śniadanie i ruszyli dalej w drogę. Polowania w tej części Afryki odróżniają się od łagodnych rozrywek naszych łowów europejskich nie tyle obfitością zwierzyny, ile bezustannem natężeniem władz, którego wymagają. Trzeba się mieć wciąż na baczności w tych nieskończonych lasach. Co chwila jakaś niespodzianka, która czasami wcale nieprzyjemną być może. Nie można na chwilę spuścić wzroku z gęstwiny w której bawół, lub groźny czarny nosorożec — „Pedjami“ — kryć się mogą; czasami nawet lew lub pantera. Godzinę szliśmy w głębokiem milczeniu przez gęstwinę lasu, gdy nagle towarzysze moi stanęli i dzidami wskazali mi na świeży trop bawołu; poczem wskazawszy mi kierunek w którym mam iść dalej, sami znikli w lesie, jeden na prawo, drugi na lewo. Po kwadransie wrócili — bawół był odkryty. Wezwali mnie, abym szedł za nimi. Po krótkim pochodzie, zatrzymaliśmy się. Buszmanowie pozdejmowali swoje twarde, z niegarbowanej skóry chodaki; na żądanie ich i ja to samo musiałem zrobić z mojem obówiem. Tu zaczęła się męka. Ostra, do oczeretu podobna trawa, i ziemia iście zasiana drobnemi, kończastemi cierniami, raniły mi nieznośnie nogi. Naraz spostrzegłem przed sobą stado bawołów. Stały one w cieniu gęstych zarośli tak dobrze ukryte, że przez długi czas przodnich od tyłu nie mogłem odróżnić; na jednym z najbliższych siedział ów czarny, podobny do kosa ptak, zwany przez przyroduików „Textor Erythrorhynchus“, wierny towarzysz bawołu i jego duch opiekuńczy. Pożywieniem jego bowiem są robaki i poczwarki mieszczące się na skórze bawołu. Ptak ten spostrzegł nas, wydał okrzyk, podleciał w górę i siadł na nowo na grzbiecie swego karmiciela, bijąc skrzydłami i wyciągając szyję. Zwierzyna nasza była ostrzeżoną. Wnet też pokazały się z gęstwiny potężne, ponure, niezmiernemi rogami zbrojne głowy i wietrzyć poczęły ku stronie, kędy my trzej, siedząc w kuczki, ukrywaliśmy się. Siedzieliśmy pod wiatrem, zwierzęta więc nas nie zwietrzyły. Strzelać był czas najwyższy. Miałem w ręku długą ciężką strzelbę, dziesiątego kalibru, której kule ołowiane ze stalowemi szpicami szły pięć na funt. Zagrzmiał piorunowy wystrzał. Dał się słyszeć trzask i łomot przerażający od strony pędzących i druzgocących wszystko przed sobą słoni i bawołów... Kłęby kurzu zamroczyły miejsce, gdzie znajdowały się przed chwilą zwierzęta. Nie tracąc ani chwili, Buszmanowie puścili się w pogoń za bawołami, z dzidą w ręku. Boso nie mogłem za nimi nadążyć; dopiero więc wdziawszy buty i nabiwszy na nowo strzelbę, co tchu pobiegłem. Za kilka chwil spostrzegłem moich towarzyszy okrążających w pewnem oddaleniu, gęste zarośle do których jednak zbliżyć się nie śmieli. Zbliżywszy się bardziej ujrzałem, czarny jakiś kształt. Był to postrzelony bawół. Pojąłem łatwo obawę Buszmanów, bawół bowiem w tym stanie, to groźne niebezpieczeństwo. Strzelba moja była to pojedynka, strzał z niej gdy trafny, bywał zawsze śmiertelny. Potrzeba mi było całej rozwagi i krwi zimnej. Na mój widok Buszmani przybliżyli się na pięćdziesiąt kroków do bawołu i poczęli obrzucać go gradem kamieni. Tak napadnięty zwierz obrócił się powoli i wysunął się nieco z gęstwiny. Maleńkie, złośliwe oczki jego, oświeciły się zielono z wściekłości; parskając i oddychając krótko wpatrywał się w Buszmanów. Skorzystałem z tej chwili i podszedłszy na 40 kroków, nim zwierzę przypuściło atak, wypaliłem i trafiłem je pod łopatkę. Jak rażony piorunem padł bawół na ziemię, a za chwilę charakterystyczuy, żałośny krzyk, istna muzyka dla uszu myśliwca oznajmił nam pewną śmierć bawołu. Wtedy dopiero zbliżyliśmy się doń. Był tak olbrzymi, że w tej odległości od obozu, zabrać go z sobą nie mogliśmy żadną miarą. Pokryli go więc Buszmanowie chrustem i kamieniami i rozpalili ogromne ognisko tuż przy nim dla zwrócenia uwagi swoich współziomków i ściągnięcia ich w to miejsce. Poczem ruszyliśmy dalej. Po kwadransie jednak zaledwie ostrożnego, rzec można podejrzliwego pochodu przez gęstwinę, ujrzeliśmy naraz ślad który wskazywał, że tu wielkie jakieś zwierzę się tarzało. Po bliższem badaniu poznaliśmy; że to był czarny nosorożec, groźny P e d j a m i. Poskoczyliśmy ostrożnie naprzód i ujrzeliśmy go na 100 kroków przed sobą. Buszmani, mając moje rezerwowe strzelby chcieli biedz za nim i strzelać. Zaledwo wstrzymałem ich, ale zwierzę usłyszało już hałas i miasto oczekiwać pogoni, puściło się sapiąc jak lokomotywa na nasze spotkanie. Czarny nosorożec jest to osobliwie nerwowa istota. Ledwo zwietrzy człowieka, już rzuca się nań, tak samo gdy coś niezwyczajnego obaczy. Jak błyskawica zrywa się z miejsca i ze ślepym zapędem szarżuje. Ztąd częste wynikają nieszczęścia dla myśliwych. Pedjami zabił konia pod Oswellem, towarzyszem Liwingstona a jemu samemu przebił na wskróś nogę. Tylko szybka interwencja innych strzelców uratowała go. Na szczęście ma to zwierzę bardzo słaby wzrok i ztąd często traci z oka ściganą ofiarę, która wciąż skręcając ujść przed nim może. Nasz zwierz zbliżył się na trzydzieści kroków może do gęstwiny, w której byliśmy ukryci, poruszając niepewnie wielkiemi świńskiemi uszyma. Wystąpiłem naprzód, mając za sobą obudwu Buszmanów, z rezerwową bronią. O dwadzieścia kroków nososorożec nas jeszcze nie widział. Dowodem tego było, że stanął i jak wyżeł podniósł przednią nogę, pochylając głowę w jedną i w drugą stronę; przyczem błyskał krótkim gładkim rogiem. Z tej chwili trzeba było skorzystać. Wycelowałem, o ile najlepiej mogłem i strzeliłem. Groźne krząkanie, kurz, dym wystrzału i łomot druzgotanych gałęzi oto wszystko, co można było spostrzedz i usłyszeć w tej chwili. Trącony gwałtownie upadłem prawie bez zmysłów na ziemię. Jeszcze jeden strzał zagrzmiał, potem drugi. Opamiętawszy się ujrzałem obok siebie trupa nosorożca. Strzały Buszmanów uratowały mi życie“.

— Jeden z pierwszych krytyków nowojorskich, Olivier Wendell Holmes, w następujący sposób wyraża się o grze pewnej znanej europejskiej pjanistki, dającej obecnie koncerta w Ameryce: „Zasiadła nareszcie przy fortepjanie, odsunęła głęboko mankiety, jak gdyby chodziło o zwycięztwo w zapasach bokserskich i zaczęła naciągać wszystkie palce, aż trzeszczało w stawach. Domyślałem się, że to zapewne zrobione było dla tego, ażeby dłoniom nadać więcej giętkości. W końcu rozprzestrzeniła palce tak, że zdawało się, iż chce naraz objąć całą klawiaturę, od mruczącego końca do piszczącego. Następnie obie dłonie z taką zajadłością spadły na nieszczęsne klawisze, jak para tygrysów na stado białych i czarnych owiec, przyczem z fortepjanu wydobywać się zaczęło takie wycie, jak gdyby fortepjan ten był zwierzęciem i ktoś mu na ogon nastąpił. Nagle — cisza grobowa, wśród której można było słyszeć jak włosy rosną na głowie. Znów tygrysy spadły na owce ze spotęgowaną zajadłością i znów odezwało się wycie i skomlenie, tym razem jak gdyby fortepjan miał dwa ogony, na które jednocześnie nastąpiono,—a w końcu wielkie świetne brzdąkanie, kwiczenie i cały szereg zakazanych skoków palcami, od prawej ku lewej i od lewej ku prawej, co wszystko razem wziąwszy, sprawiała ta produkcja wrażenie raczej jakiejś ogólnej wędrówki szczurów, i myszy niż tego co ja muzyką nazywam“.

Odpowiedzi Redakcji.

G. w Wadowicach. Książki, o której mowa nie otrzymaliśmy jeszcze. Co do projektu, to mógłby nań przystać tylko księgarz.

O. w Stanisławowie. Przysłane nam poezje nie będą drukowane.

E. G. we Lwowie. „Stary guślarz“ nie kwalifikuje się do druku. Radzimy poświęcić się prozie.

Treść Nr. 29.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).